



3
bez
zażenowania



4
zapłata



6
punkt
na mlecznej
drodze

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY



PISMO PZPR

PL ISSN 0208-6840

38

(362)

KONTAKTY
1987-09-20

cena
20 zł



Fot. JANUSZ SZEWIŃSKI

DONOS

ŁOMŻYŃSKIE DOLORADO

ALICJA NIEDŹWIECKA

„O zamożności decydują obyczaje a nie bogactwo.”

MONTESKIUSZ

— Gdybym się nie wstydził, po miesiącu bym wrócił. Traktują człowieka jak psa.

— Jak dostałam pierwszą pensję i zaczęłam liczyć, to moje ręce nie chciały wierzyć.

— „Ameryka” jest tutaj, nie tam.

Pewnej niedzieli pod polskim kościołem w Nowym Jorku spotkało się szesnastu łomżyńskich taksówkarzy. Łomża żyje Ameryką — właśnie ktoś wrócił, ktoś inny już ma bilet na samolot, sąsiad z dołu czeka na zaproszenie, sąsiad z góry zjawia się lada dzień. Mówią, że Nowy Jork mało co różni się od Łomży — Manhattan, tak, to wielki świat, ale potem zabudowa szeregową, jak tutaj, ludzie tacy sami. Można obejrzeć na zdjęciach: ulica nowojorska, tłum kolorowy, Chińczycy, Murzyni, biali, a wśród nich idzie sobie Marek D. z Grajewa, niczym się nie różni od Amerykanów. A może elegancją się różni, bo niektórzy niechlujni, brudni, obcięte rękawy, włosy do połowy fioletowe, a Marek D. w dżinsach i białej koszuli.

Na tle ogromnego wieżowca Roman F. z Kolna śmieje się prosto do obiektywu, ho, ho, gdzie ja jestem. Ale najbardziej dumny jest „Bystry” — leży sobie na szerokim tapczanie przysypyany dolarami. Król życia.

charakter

Na tych zdjęciach mają wypisane swoje sukcesy i swoje klęski. Na jednym z nich siedzi grupa łomżyńskich przy stole pełnym smakołyków — nie wszyscy są weseli. Tak, ten, wiadomo, będzie już wracał. Był miesiąc, dłużej nie może wytrzymać. Wszystko go denerwuje: ta obca mowa, to mieszkanie z czterema kolegami, ciężka robota, odległość od domu. Doświadczeni „turyści” powiadają, że do takiego wyjazdu trzeba mieć charakter. I bardzo chcieć. Ponad wszystko. Charakter jest potrzebny nie tylko do pracy, ale, ot, wódka tania, można się rozpić. Tak, jak Władzio. Tuż nawet nieźle sobie radził — a tam jest „bumem”: brudny, zaróżniony, coś tam zbiera po śmietnikach i sprzedaje za centy. Uzbiera pięć dolarów i już ma na litra.

Wobec dolara też trzeba mieć charakter. Ja przykład „Komoda” — pracuje od rana do szesnastej w sklepie rozwozi i nosi meble, nadzwiga się, naharuje, a potem jedzie do rzeźni: czyści maszyny do czwartego rano. Ma dwie godziny na spanie, no i soboty i niedziele. A właściwie nie, bo jest „rozrównkowy” i wtedy maszy się życiem. W ciągu roku schudł 40 kilogramów. Nawet ci najsilniejsi nie mogą zrozumieć skąd on bierze e-

nergę. Z dolarów? Tu 5 na godzinę, tu 8, złudna energia, nie wróżą dobrze „Komodzie”; padnie pewnego dnia lub nocy. Pracować trzeba też z charakterem, bez zrywów na początku, a spokojnie, dokładnie, solidnie bardzo. I równomierne. Amerykanie nie lubią „zrywów” nie dowierzają (i mają rację) takiemu robotnikowi.

Nie można też być cwaniakiem, zwłaszcza między swymi. Cwaniakowi nikt nie pomoże. No i trzeba jak najszybciej „język złapać”. Chociaż — którzy sądzą, że na kurs języka nie ma czasu, nie warto, nie po to się przyjechało. Można przecież ciąć detale czy myć talerze bez języka. Co za problem? Może więc i do nauki trzeba mieć charakter. Ale najwięcej go potrzeba, by powiedzieć: nie. Rita, jak wracała do kraju po rocznym pobycie, nakupiła różności, wspaniałości (a było to trzy lata temu), do dzisiaj leżą w szafie bezużyteczne. Ani ich sprzedać (nikt takich nie nosi), ani nawet podarować. Dała się uwieść; do dzisiaj nie może oddać. Kiedy więc mał pojechał, przykazała: „Tylko niczego tam nie kupuj, pamiętaj”. I on pamiętał.

Trzeba mieć charakter by nie stracić się w dolarach przy robocie, ale także, by nie sięgnąć po

CIĄG DALSZY NA STR. 7

w następnym numerze:

• nasze drzewka w Alei Sprawiedliwych • pasje życia — rekonstrukcja faktów • łomżyńskie wrześnie • Białostocka Rozgłośnia PR skończyła 35 lat • Czingiz Ajmatow o „pierestrojce” • władze z dziennikarzami wyszły na remis • „Pep Shop Boys” i Whitney Houston.

ŻNIWA ZAKOŃCZONE. W magazynach Państwowych Zakładów Zbożowych i gminnych spółdzielni znajduje się 43,5 tys. ton zbóż (ok. 65 proc. planu) zebranych bezpośrednio z pól woj. łomżyńskiego. Reszta — trafi tam po omlotach.

OBRZĘD DOŻYNKOWY, wystawy rolnicze, wielka loteria fantowa, pokazy lotnicze, kiermasze handlowe — to atrakcje, na które w najbliższą niedzielę zapraszają wszystkich mieszkańców Łomży i województwa organizatorzy dożynek. Początek na stadionie miejskim o godz. 11.00. Sylwetki starościny i starosty dożynek prezentujemy obok. Wicestarostami zostali: Zofia Karwowska z Rydzewa (gm. Kolno) i Kazimierz Kramkowski z Dawidowizny (gm. Goniądz).

STRAŻACY PRZESTRZEGAJĄ przed samozapaleniem zboża, siana i innych pasz. Następuje ono wówczas, gdy wilgotność składowanych w stodołach, magazynach lub stercie zbiorów przekracza 17 proc. (najczęściej w trzech pierwszych tygodniach). Samozapalenie było ostatnio przyczyną pożarów w Kossakach Nadbielnych (gm. Rutki), Piątnicy i Leśniewku (gm. Zaręby Kościelne).

„GAZETA WSPÓŁCZESNA” zakończyła swoje święto w Łomży. Było wiele spotkań z dziennikarzami, imprez rekreacyjnych, koncertów. Głównym programem okazał się mecz piłki nożnej dziennikarzy — władze, zakończony remisem 4:4.

ORDER SZTANDARU PRACY II klasy za wybitne osiągnięcia w działalności informacyjnej, publicystycznej i organizatorskiej otrzymała redakcja „Gazety Współczesnej”. Gratulujemy.

GOSPODARSKIE WIZYTY w terenie. W tym tygodniu (w czwartek) sekretarz KW, Henryk Białobrzelski, i wicewojewoda Edward Dąbrowski odwiedzili gminę Jedwabne, sekretarz KW, Jan Jamiolkowski — Przytuły, przewodniczący WKRR-u,

Sławomir Grygo, i wicewojewoda Zdzisław Truszkowski — Nowe Piekuty. Przedmiotem ich zainteresowania są prace w rolnictwie oraz polityka kadrowa.

DUŻY SUKCES odnieśli łomżyńscy hodowcy na wystawie zwierząt hodowlanych w Warszawie (3-6 września). Tytuły championów zdobyli: owca Mariana Piętki z Piętek Grzek (gm. Klukowo) oraz loszka Stefana Gryszkiewicza ze wsi Lebki Małe (gm. Grabowo). Złote medale za najwyższe walory użytkowe hodowli otrzymali: Hieronim Łuba z Głęboczy Wielkich (gm. Szumowo) — za ogiera oraz Krzysztof Banach z Kalinową (gm. Piątnica) — za krowę.

DZIENNIKARZE z Tatarskiej Autonomicznej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, Ilgiz Kallimullowicz Hairullin, Rais Madanowicz Sabirow i Jewgienij Andrejewicz Lissin gościli na Ziemi Łomżyńskiej. Odwiedzili również naszą redakcję.

BRYGADOWY SYSTEM PRACY w przedsiębiorstwach budowlanych był tematem dyskusji członków Komisji Ekonomicznej KW PZPR w Łomży. Najwięcej pracowników objęto tą formą organizacji pracy w Łomżyńskim Przedsiębiorstwie Robot Inżynierskich (wszystkich zatrudnionych na budowach), Przedsiębiorstwie Budownictwa Rolniczego w Grajewie (6 zespołów) i Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Budownictwa Komunalnego w Łomży (3 zespoły). Członkowie Komisji zapoznali się również z przebiegiem konsultacji centralnego planu rocznego na rok 1988.

PODZAS GIELDY „Drobna wytwórczość — handlowi” (27 sierpnia) producenci zaferowali towary wartości 1994 mln zł. Najwięcej — Zakłady Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego w Wysokiem Mazowieckim (650 mln), Wytwórczo-Usługowa Spółdzielnia Pracy w Kolnie (255 mln) i zakład przetwórczy Wojewódzkiej Spółdzielni Ogrodniczo-Pszczelarskiej (190 mln). Przedsiębiorstwa handlowe naszego województwa zawarły umowy na przeszło 236 mln.

SPÓŁDZIELNIA PRACY „Miś” eksportuje zabawki do RFN-u, Belgii, Austrii i Syrii. Łomżyńskie zabawki podobają się też w kraju: na giełdzie w Łodzi Spółdzielnia zawarła kontrakty na 105 mln zł.

SZÓSTY ROK PRACY zainaugurował Zespół Studiów Nauczycielskich w Łomży. Naukę rozpoczęło 160 absolwentów szkół średnich.

TANDETA I ZŁY GUST — to „oferta” handlarzy, którzy tłumnie zjechali do Łomży na II Jarmark

Nadnarwiański (6-12 września). Nieliczne stoiska przedsiębiorstw państwowych i spółdzielczych, oblegane przez kupujących nie grzeszyły nadmiarem towarów. Społeczna Rada Jarmarku przekazała 16,5 tys. zł na budowę Parku 40-lecia w Łomży, a 18 tys. — na fundusz badań prof. Tolpy. Dochód z loterii fantowej PSS „Społem” przeznacza na ufundowanie książeczek mieszkaniowych wychowankom z domu dziecka (ok. 100 tys. zł).

ŁOMŻYŃSKIE gościć będzie delegatów na ogólnopolską konferencję poświęconą problemom zadrzewienia i gospodarki lasami niepaństwowymi (16-18 września w ośrodku BGZ-u w Okoniewku koło Rajgródu). Powierzenie przez Ministerstwo Rolnictwa, Gospodarki Żywnościowej i Leśnictwa, organizacji konferencji naszemu województwu jest dowodem uznania za dobre wyniki w tej dziedzinie.

NA TARGU w Jedwabnem za kwintal żyta płacono 2500 zł, owsa — 2800, pszenicy — 3500, jęczmienia — 3200, ziemniaków — 2000; za parę prosiąt dawano 10-12 tys. zł, owce — 14 000, konia roboczego — 160 000, kurę — 400, jajo — 20. Główna kapusta kosztowała 30-40 zł, kilogram cebuli — 60, marchwi — 70, jabłek — 200-250.

Z GIELDY SAMOCHODOWEJ w Łomży: fiat 126p z 1975 — 240 tys., z 1978 — 450 tys., z 1980 — 530 tys., z 1981 — 550 tys.; FSO z 1974 — 430 tys., z 1975 — 600 tys.; syrena z 1976 — 180 tys.; skoda z 1973 — 360 tys.; dostawczy mercedes z 1977 — 1,5 mln zł.

ORGANIZATORZY RECITALU Zbigniewa Zapasiewicza, który miał odbyć się 10 września o godzinie 18.00 w sali konferencyjnej Urzędu Wojewódzkiego w Łomży, przepraszają wszystkich zainteresowanych za to, że recital nie doszedł do skutku. Zwrot pieniędzy za bilety — do 18 września w MDK-DST.

KATEDRA SOCJOLOGII Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu przyjmuje do końca listopada zapisy na czterosemestralne Podyplomowe Studium Socjologii Wsi. Przyjmowane są osoby pracujące w środowisku wiejskim i legitymujące się wyższym wykształceniem. Kandydatów kierują odpłatnie ich zakłady pracy lub organizacje społeczne. Szczegółowych informacji udziela Katedra Socjologii Uniwersytetu Mikołaja Kopernika (87-100 Toruń, ul. Fosa Staromiejska 3, tel. 260-21 w. 123).

ORGANIZATORZY LOTERII „Kontaktowa” uprzejmie informują, że termin odbioru wygranych upływa 20 września br.

PUNKT WIDZENIA

sztuka i igrzyska

Na ten spektakl miłośnicy poezji czekali z niecierpliwością. Recitale artystów tej klasy, co Zbigniew Zapasiewicz (miał przedstawić wiersze Zbigniewa Herberta), nie trafiają się w Łomży często. Tuż przed występem, naznaczonym na godz. 18.00 w dużej sali Urzędu Wojewódzkiego, ogarnął nas lekki niepokój: czyżby cały ten tłum, złożony z uczniów szkół średnich, również ląkał poezji Herberta? Niepokój zwiększył się, gdy zaczęły przybywać panie w średnim wieku, ubrane odświętnie, trzymające za rączkę świeżo umyte i uczesane pociechy. Gdy ciżba zapełniła szalenie hall, ogarnęła nas rozpacz: przez taki tłum nie przebieje się żadna poezja; intelektualista Herbert na igrzyskach — to szaleństwo!

Na szczęście zdrowy rozsądek i zimna krew wykazał Zbigniew Zapasiewicz, który oświadczył, że nie wystąpi. Dzięki Bogu Pracownikom upowszechniania kultury, którzy dwoją się i troją, żeby uszczęśliwić P.T. Publiczność, zwracamy uwagę, że są jeszcze przyczółki prawdziwej sztuki, dostępne tylko dla elity.

MARIA KACZYŃSKA

zaprosili nas

Komenda Hufca ZHP im. Obrońców Włzy w Łomży — na podsumowanie Harcerskiej Akcji Leśnej '87; Świdnicki Ośrodek Kultury — na 5 ogólnopolski jarmark sprzętu, materiałów i wydawnictw fotograficznych; Ośrodek Kultury CSRS i Wydział Kultury i Sztuki Urzędu m.st. Warszawy — na konferencję prasową z okazji Dni Pragi w Warszawie.

pytanie droż w

Dlaczego Okręgowa Spółdzielnia Mleczarska w Piątnicy znajduje się na liście producentów bubli przemysłu spożywczego?

ZBIGNIEW KALINOWSKI, prezes OSM w Piątnicy: — Z powodu błędów w statystyce. Pracownicy laboratorium PSS „Społem” w Łomży, sporządzając sprawozdanie statystyczne dla WUS-u, przy obliczaniu współczynnika wadliwości wyrobów dwukrotnie policzyli tę samą reklamację. Ponadto zastrzeżenia dotyczące nieaktualnych cen na opakowaniach zostały zakwalifikowane jako reklamacja jakościowa. Po wyjaśnieniu tych pomyłek wspólnie ze „Społem” obliczyliśmy, że współczynnik wadliwości wyrobów

w 1986 roku wynosił 0,93, a nie 4,35, jak podaje Polski Komitet Normalizacji Miar i Jakości. W pierwszym półroczu br. zareklamowano jedynie 0,2 proc. naszych wyrobów. Łomżyńskiej PSS „Społem” dostarczamy tylko piątą część naszej produkcji. Z danych GUS-u, obejmujących całość wynika, że w roku 1986 tylko 0,1 proc. wszystkich naszych produktów było reklamowanych, a w I półroczu br. tylko 0,03 proc.

sprosiowanie

W 37 numerze „Kontaktów”, w wywiadzie „Ostrzegawcze światelko”, z winy autora znalazł się błąd. Jego rozmówcą był pan Marian Szymanowski, a nie — jak błędnie napisaliśmy — Marek Szymański. Gorąco przepraszamy.

myśl z atestem

„Bagnetami można dokonać wszystkiego, nie można jednak na nich siedzieć.”

Charles M. de Talleyrand

zdanie tygodnia

— Każda władza, która ułatwia sobie życie przez zamazywanie sprzeczności, skazuje się nieuchronnie na rolę osła ofiarnego; osła, nie kozła, bo ten drugi jest poświęcony wbrew swej woli, osioł zaś pcha się na stos sam.

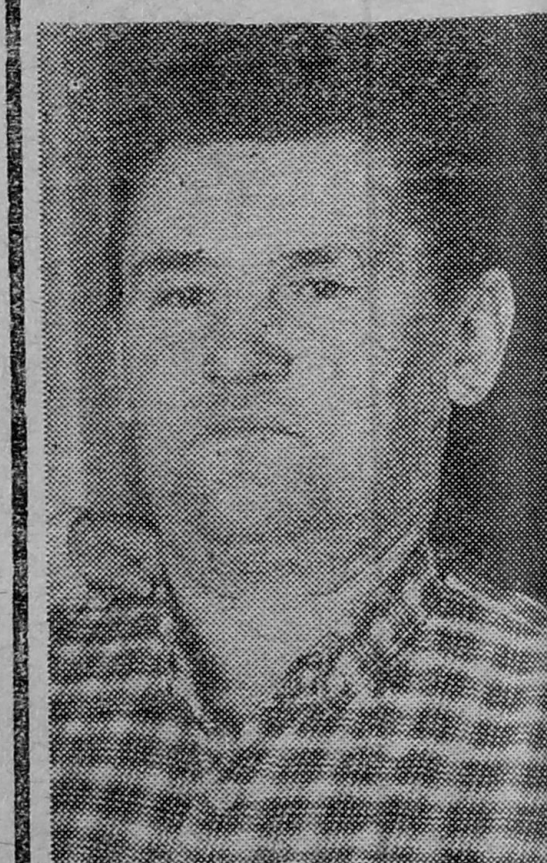
Marian Gulczyński, politolog

STAROŚCIE DOŻYNEK ŁOMŻA'87



DANUTA ZAWISTOWSKA ze wsi Antonin (gm. Ciechanowiec) wraz z mężem prowadzi 11-hektarowe gospodarstwo. Zaczęli specjalizować się w hodowli bydła mlecznego. Oprócz tego, jak cała wieś, uprawiają ziemniaki-sadzeniaki, które sprzedają Centrali Nasienniej. Pani Danuta uważa, że ani osiągnięte wyniki, ani sposób życia nie wyróżniają jej spośród okolicznych rolników. Jest typową wiejską kobietą, która usiłuje pogodzić pracę w gospodarstwie i obowiązki domowe z działalnością społeczną. A działa sporo: jest m.in. przewodniczącą Rady Sołeckiej w Antoninie, radną Gminnej Rady Narodowej oraz prezesem Gminnego Związku Rolników, Kółek i Organizacji Rolniczych. „Gdyby nie wyrozumiałość i pracowitość męża — podkreśla — moje ciągłe wyjazdy z domu nie byłyby możliwe.” Państwo Zawistowscy mają troje dzieci. Jednego z synów — ucznia II klasy Technikum Rolniczego — sposobią na swojego następcę.

ANTONI LEŚNIEWSKI ze wsi Dąbrowa Dołga (gm. Szeptów) pracuje na 22-hektarowym gospodarstwie z żoną i synem. Specjalizuje się w hodowli krów mlecznych i jałówek hodowlanych. Tradycje tej hodowli sięgają jeszcze okresu przedwojennego: dziadek pana An-



toniego zdobywał medale na wystawach rolniczych w Poznaniu. Teraz średnia wydajność jego stada (11 krów mlecznych) wynosi 4,5 tys. l. Nie jest to, zdaniem Antoniego Leśniewskiego, wynik rewelacyjny; dużo jeszcze można w hodowli ulepszyć poprzez stosowanie najlepszego materiału rozrodczego i selekcję. Jednak przy krowach — mlecznicach trzyma go rodzinna tradycja, bo ekonomicznego punktu widzenia nie jest to zajęcie zbyt opłacalne. Nieco większe zyski przynosi hodowla jałówek, które z obory w Dąbrowie Dołgach trafiają nawet za granicę. Antoni Leśniewski jest przewodniczącym Rady Nadzorczej Banku Spółdzielczego w Szeptowie oraz wiceprzewodniczącym Rady Wojewódzkiej Banku Gospodarki Żywnościowej.



sami
sobie

Do niedawna szkoła w Kalinowie Czosnowie (gmina Wysokie Mazowieckie) nie różniła się niczym od innych wiejskich szkół. Wybudowana w czynie społecznym zaraz po wojnie, nie grzeszyła komfortem. Mieszkańcy nosili się wprawdzie z zamiarem jej rozbudowy, lecz zawsze stało się coś na przeszkodzie; nikt się nie spostrzegł, jak minęło trzydzieści lat.

W 1984 roku idea rozbudowy odżyła znowu za sprawą działaczy Ochotniczej Straży Pożarnej. Powstał społeczny komitet, który w porozumieniu z władzami gminy zaczął gromadzić środki na ten cel. Poczynania komitetu były zgodne z oczekiwaniami: mieszkańcy Kalinowa Czosnowa i pięciu innych wsi z okolicy nie poskapiły pieniędzy ani własnej pracy; przy okazji wyremontowano też stary budynek. Po dwóch latach dzieło było gotowe. Dziś dyrektorka szkoły — Joanna Roszkowska, z satysfakcją „dopieszcza” ów owoc wspólnej pracy.

A są powody do dumy. Budynek i z zewnątrz, i w środku, prezentuje się wspaniale. Pozazdrościłaby go niejedna szkoła w dużym mieście. Jest przestronny, starannie wykonany, z głową zagospodarowany.

— Dbaliśmy o wszystko podczas budowy, tak, jakby to było nasze własne — zwierza się Joanna Roszkowska; jej mąż, działacz OSP, był przewodniczącym społecznego komitetu. Dla pani Joanny czas budowy to dwa lata bez wakacji. Ale nie żałuje: — Pracuję tu już dwudziesty czwarty rok. Trafiłam z nakazu, po skończeniu Liceum Pedagogicznego w Łapach. Mieszkaliśmy na stacjach u rolników. Do wsi prowadziła wtedy piaszczysta droga. Ludzie byli biedni: wsi nie stać było na dokończenie tej szkoły, którą sobie wymarzyli jeszcze przed wojną. O rozbudowie mówili ciągle. To było ich marzenie: mieć ładną szkołę, taką, która jest sercem wsi, ośrodkiem kultury. Cieszę się, że trochę przyczyniłam się do spełnienia tych marzeń.

Dobrze wyposażone sale lekcyjne, przestronne korytarze, sala gimnastyczna, stołówka, szatnia, centralne ogrzewanie, kanalizacja, łazienki wyłożone glazurą — to dzisiejsza szkoła w Kalinowie Czosnowie. W mieszkańców wstąpił nowy duch: zaczęli porządkować swoje obejścia, żeby „tło” dla szkoły było odpowiednie. W nauczycieli i uczniów również: jeszcze przed wakacjami dotarła do Łomży wiadomość, że szkoła w Kalinowie Czosnowie wygrała ogólnopolski konkurs czystości, estetyki i higieny („Nasza szkoła czysta i zdrowa”). Spełniły się marzenia: we wsi zjawili się goście, jej nazwa przewinęła się w prasie.

Niestety, dzieci nadal uczą się w tzw. klasach łączonych. Jest to zgodne z zarządzeniem ministra oświaty i wychowania: ogólna liczba uczniów w szkole nie przekracza 100 (jest ich 75). Tylko klasy pierwsza i ósma mają zajęcia oddzielne. Pozostałe — po dwie. Nauka w takim systemie wymaga od uczniów wyjątkowej dyscypliny, a od nauczycieli — dodatkowych umiejętności. Pani dyrektor Roszkowska twierdzi, że jedni i drudzy stanęli na wysokości zadania. Jednak żal, bo dzieci dużo tracą.

Joanna Roszkowska zna sposób na rozwiązanie tego problemu: wystarczyłoby przyłączyć do szkoły w Kalinowie Czosnowie dzieci z oddalonej o 2,5 km wsi Kalinowo Solki; budynek, w którym uczą się tam maluchy z klas I—III jest zrujnowany, zaś starsze dzieci dojeżdżają autobusem do Kuleszy Kościelnych (8 kilometrów). Niestety, Kalinowo Solki — to już inna gmina. Na domiar złego między mieszkańcami obydwu wsi trwają jakieś zadawnione waśnie... Pani Joanna nie ma odwagi wystąpić z tą propozycją. Może więc wyręczyliby ją inspektorzy z obydwu gmin? Dla dobra dzieci warto się chyba podjąć i tej pracy?

(mak)

a później, jeśli nawet nie padało, szybko zapadał zmierzch. Mimo to plony są co najmniej takie, jak w roku ubiegłym, jeśli nie lepsze. Zresztą, przywykliśmy patrzeć na rolnika poprzez zbiory: tony zbóż i mięsa, litry mleka, a to mylące uproszczenie.

— Jak zatem mamy potrzebę?

— Jak na człowieka, którego potrzeby nie są wcale mniejsze od innych. Utańczył się, iż chłop zawsze sobie poradzi. Rzeczywiście, jakoś sobie radzi, ale czy ktokolwiek zastanowił się nad tym, ile kobieta wiejska, obsługująca np. od 10 do 15 krów lub tuczników, musi co dzień przemieścić wiader wody? A częste wyłączenia energii elektrycznej, wystawianie w kolejkach po chleb, wielokilometrowe wędrówki dzieci wiejskich do szkół — to sprawy, którymi w najbliższych latach powinniśmy się zająć, również z korzyścią dla produkcji.

— Wróćmy do dożynek.

— Staramy się robić je jak najnajoszczędniej i, na szczęście, otrzymaliśmy pomoc od każdego, do kogo się tylko zwróciliśmy. Przedsiębiorstwa przemysłowe zgłosiły chęć współpracy (fundowały np. losy loterii dożynekowej), za darmo korzystaliśmy ze stadionów i sal na próby, słowem: nikt nie wykręcał się, jak to często bywa, pilniejszymi zajęciami. Już dziś myślimy o przyszłych dożynkach. Sądzę, że gospodarzem uroczystości powinna być co roku ta gmina, która osiągnęła najlepsze wyniki produkcyjne w wybranej dziedzinie. To od przyszłego roku, dziś komitet organizacyjny zaprasza wszystkich, zwłaszcza rolników, do wzięcia udziału w imprezie.

— Dziękuję za rozmowę.

Fot. STANISŁAW ANDRUSZKIEWICZ

bez
zażenowania

Z Januszem Redlinem, prezesem WZRKiO-R, przewodniczącym komitetu organizacyjnego dożynek wojewódzkich Łomży '87, rozmawia Jan Oniszczyk.

Myślę, że mają oni prawo przyjmować wyrazy wdzięczności bez zażenowania.

Szczególnie po ostatnich zniwach. Nie dość, że dojrzewanie zbóż opóźnione było o 2–3 tygodnie, to jeszcze ten deszcz! Na palcach obu rąk policzyć można dni, w których cięższy sprzęt mógł wejść na pola; rano przeszkadzała rosa,

JAN ONISZCZYK: — Dawno już nie organizowaliśmy dożynek. Dlaczego więc właśnie w tym roku i to z taką pompą?

JANUSZ REDLIN: — Dożynki organizowane były co roku, tyle że ich gospodarzami były poszczególne gminy i wsie, ostatnio np. Zbójna i Laskowiec. Zapraszano na nie władze, miały więc charakter ponadgminny. Prawda jest natomiast, że w samej Łomży nie mieliśmy takiej imprezy od 12 lat. W tym roku obchodzimy 125-lecie istnienia kółek rolniczych w Polsce i 30-lecie w PRL. Postanowiliśmy połączyć obchody tego jubileuszu z dożynkami i wziąć na siebie obowiązki głównego organizatora. Poza tym należy pamiętać, że województwo nasze jest wybitnie rolnicze (i inne nie będzie) i tę starą, znaną tradycję świętowania po ciężkich pracach polowych właśnie u nas kultywować należy szczególnie pieczołowicie. Było nie było mamy 200 tysięcy hektarów obsiewanych zbożami. Nasza przyszłość, także mieszkańców miast, zależy od wyników rolnictwa i warunków życia na wsi. Powinniśmy przynajmniej raz do roku podziękować rolnikom za ich trud.

— A jest chociaż za co?

— Oczywiście! Gleby w Łomżyńskim mamy wyjątkowo słabe; pod względem tzw. jakości przestrzeni produkcyjnej zajmujemy 46 miejsce w kraju. Wyniki produkcyjne natomiast plasują nas znacznie wyżej. Co roku przesuwamy się o kilka pozycji w górę. Jeśli chodzi o skup mleka z hektara użytków rolnych, zajmujemy 7 miejsce w Polsce; obsada bydła na 100 hektarów daje nam 10, a trzody chlewnej 17 miejsce. A wszystko to z tych marnych ziem. Do tego otrzymujemy znacznie mniej nawozów niż powinniśmy; dobre efekty są więc wynikiem wielokrotnego nakładu pracy własnej rolników.

z bocznych tras

● **USCIANEK WIELKI** (gm. Zaręby Kościelne). Doradcy z WOPR-u omijają tę wieś. Rolnicy nie mają do kogo zwrócić się ze swoimi problemami. Dlaczego?

Bolesław Niemira, pracownik WOPR-u w Zarębach Kościelnych: — Na 43 sołectwa są u nas tylko dwie osoby. Nie dajemy rady. Chętnych do pracy w doradztwie rolniczym brakuje. Jest to trudna robota, wymaga wysokich kwalifikacji fachowych, ciągłego „tłuczenia się” po terenie. Ci, którzy się zgłaszają, po zapoznaniu się z warunkami przeważnie rezygnują.

— Co więc mają robić rolnicy? — Mogą zgłaszać się do poradcy do naszego biura. Dyżurujemy w każdy poniedziałek.

● **KIETLANKA** (gm. Zaręby Kościelne). Wieś nietypowa, bo część jej mieszkańców pracuje aż w... stolicy! Najwięcej jest kolejarzy, zdarzają się też pracownicy innych zakładów. Przyzwyczaili się do codziennych dojazdów, choć chodzenie rano dróżką wzdłuż torów do stacji

w Zarębach Kościelnych do przyjemności nie należy. Ostatnio, po elektryfikacji linii Warszawa—Białystok, droga ta stała się wręcz niebezpieczna; pod kołami pociągów zginęło trzech mężczyzn. To zmobilizowało wieś do starań o budowę przystanku kolejowego w samej Kietlance. Ale idzie im jak po grudzie. Najpierw trzeba było wiele zabiegów, żeby władze kolejowe wyraziły zgodę na budowę. Gdy przystąpili już do pracy, okazało się, że przysłany przez PKP inżynier wskazał złą lokalizację; musieli zacząć od początku. Usypali nasypy peronów, ustawili latarnię, wzniesli mury poczekalni i kasy biletowej. Stoją już tablice z napisem „Kietlanka”, ale... zatrzymują się tu tylko pociągi służbowe.

Kolej stawia coraz to nowe wymagania. Stanisław Kietliński, przewodniczący społecznego komitetu budowy, stara się jak może: właśnie załatwia rury do kanalizacji deszczowej. PKP chce jeszcze toaletę dla kasjerki. Tego już za wie-

le: dla jednej osoby budować studnię głębinową, kanalizację i szambo? (Pasażerowie uczęszczają — będą do tradycyjnej sławki). Nie chodzi nawet o pieniądze, ale o materiały, których nigdzie nie można zdobyć.

Stanisław Kietliński, mimo swoich siedemdziesięciu lat, zawiązał się jednak i wszystko wskazuje na to, że doprowadzi budowę do końca.

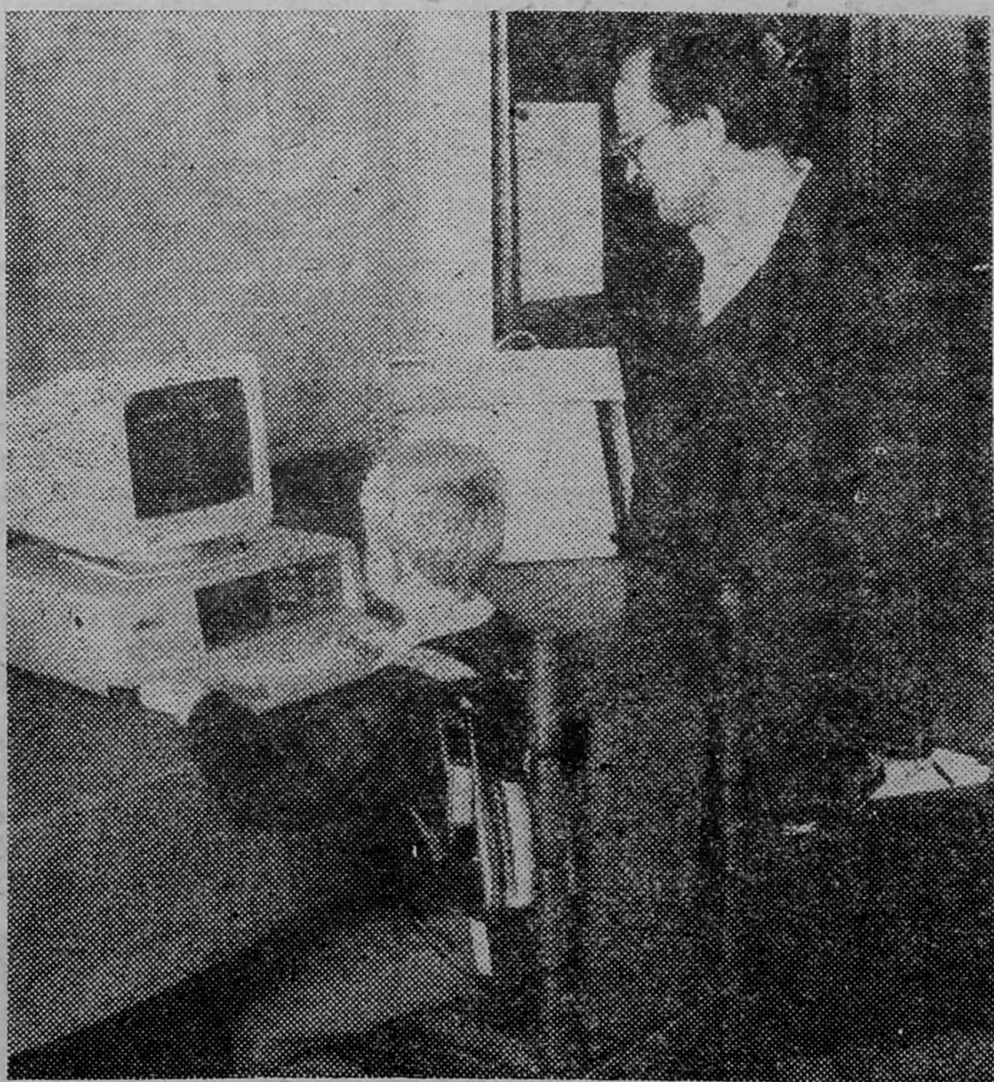
● **WIKTOROWO** (gm. Perlejewo). Mieszkańcy tej wsi to w większości potomkowie fernali dziedzica Jastrzębskiego. Po wojnie najważniejsza była parcelacja; nikt nie martwił się o wytyczenie dobrych dróg dojazdowych do nowych gospodarstw. Z czasem ustaliły się zwyczajowe trasy przejazdu. Ale ostatnio jeden z rolników — czy to ze względu na wzrastającą wartość ziemi, czy też z innych powodów — zaczął drogę prowadzącą przez jego pole. Dla innych wydłużył się dojazd do Perlejewo. Naprawienie błędów z czasów reformy rolnej potrwa, konieczne jest odtworzenie dokumentacji geodezyjnej, potem sprawa skierowana zostanie do sądu (o ustanowienie drogi koniecznej). Prościej byłoby się dogadać, ale czy rolników stać na to? (W.K.)

bliżej
komputera

Przedsiębiorstwo Zagraniczne „Starcomp” z Warszawy zaprezentowało 2 września w Łomży (w sali Urzędu Wojewódzkiego) swoją produkcję: mikrokomputery IBM PC XT/AT wraz z wyposażeniem dodatkowym i oprogramowaniem. Urządzenia te przydatne są przede wszystkim w zarządzaniu małymi przedsiębiorstwami oraz w pracy administracji. Zainteresowanie pokazem było spore. Firma liczy na pozyskanie nowych klientów z terenu woj. łomżyńskiego, oferując korzystne warunki: instaluje u klienta sprzęt wraz z oprogramowaniem, szkoli personel, służy doradztwem technicznym, udostępnia fachową literaturę.

(mak)

Fot. STANISŁAW ANDRUSZKIEWICZ



ludzie i sprawy





Pomagają samotnym chorym, starym, inwalidom.

Kupują węgiel, wystają w kolejkach po produkty żywnościowe, odprowadzają do szkoły dzieci chorych samotnych matek lub ojców, sprzątają, gotują, pocieszają, współczują, przynoszą ulgę w bólu, rozumieją samotność.

Zarzuca się im, że kradną, że w czasie godzin pracy biegają po sklepach, że niedostatecznie opiekują się swymi podopiecznymi, że źle sprzątają.

Bywa, że mówi się o nich, iż przedłużają życie. Są nazywane córkami, chwalone za uczciwość, sumienność, życzliwość, zrozumienie, pomoc.

W Łomży jest ich obecnie 71, w całym województwie ponad 300. Wszystkie siostry PCK tworzą małą klinikę. W ubiegłym roku opiekowały się 834 osobami. W tym roku (do chwili obecnej) pomagają 225 podopiecznym.

Zapłata za ich pracę bywa różna.

obserwacje z zewnątrz

Droga Redakcjo, przebywam na urlopie w Łomży. Kuzynka moja jest objęta opieką siostry PCK. A oto moje urlopowe spostrzeżenia:

Praca siostry w Łomży mija się z celem. Siostra nie sprawuje opieki nad chorą, lecz nad jej mieszkaniem. Wiele czasu spędza na przyrządzaniu wyszukanych posiłków, nawet dla całej rodziny. Przez kilka dni obserwowałam, jak siostra przez trzy godziny uwiłaja się przy sprzątaniu i gotowaniu. Przecież nie kończyła kursu sprzątania, ani gotowania. Czyżby siostry nie znały zakresu swoich czynności? Siostra nie jest sprzątaczką, która — zresztą — znacznie więcej zarabia od niej.

Opieka w wolną sobotę. Tak, oczywiście, ale dla tych, którzy nie mają rodzin w Łomży i naprawdę tej opieki potrzebują. A zauważyłam, że podopieczni mieszkają pod jednym dachem z rodziną i mają opiekę. Dlaczego?

Jeszcze jedna sprawa mnie oburzyła. Sama widziałam, jak w piątek siostry kupowały wędlinę. O zgrozo! Tłum ludzi, a one przez głowy kupowały, co im podano. Oczywiście wywieszka jest i głosi, że od godz. 12.00 do godz. 15.00 zaopatrują się siostry PCK. Ale w jakich warunkach! Nie wiem, czy siostry mają wydzielony sklep mięsny i czy tylko jeden dzień w tygodniu. Jak mi wiadomo, siostry mają kłopoty z zakupami w piątek po godz. 15.00 i w soboty.

Może opublikowanie tego listu w jakimś stopniu pomoże siostrze PCK.

IRENA FLORCZYK

doświadczenia

List zawiera całkowitą prawdę. Istotnie mniej czasu poświęca się samym chorym, a więcej na sprzątanie i gotowanie. To prawda, że mycie okien nie należy do naszych obowiązków, ale mnie podopieczna powiedziała: „Jak siostra nie ma co robić, to niech okna umyje”. Dywanów też nie musimy trzepać, choć usłyszałam od jednej swojej podopiecznej, że poprzednia to robiła.

Są środowiska, w których harujemy jak wariatki i naszej pracy nikt nie szanuje. Przykładowo mój podopieczny złośliwie pluje dookoła, rozganiata papierosy, popiół strzepuje wcale nie do popielniczki, tylko gdzie się da, a jak się mu grzecznie zwróci uwagę, to wyzywa i straszy, że pójdzie na skargę do kierowniczki. A jeszcze na dodatek, kiedy chcę sprzątać, wydziela mi odrobinę proszku do czyszczenia, a resztę chowa.

Artykuły mięsne nabywamy dla podopiecznych najczęściej w sklepie garmazeryjnym przy ulicy Buczka. To niby nasz sklep, ale jest tam zawsze tłum ludzi, więc zakupy robimy rzeczywiście nad głowami i wyzywane jesteśmy od najgorszych. Podopieczni mają specjalne wymagania i jak kupimy coś, co im nie odpowiada, musimy im oddać swoje kartki, a towar wziąć sobie.

zapłata



Często nie rozumieją, że szynki czy baleronu wcale nie można dostać.

DANUTA CYMEK
siostra PCK od 12 lat

» * «

Jesteśmy siostrami PCK, a często podopieczni traktują nas jak sprzątaczkę. W mojej obecności podopieczna powiedziała do swojej sąsiadki: „Niech już pani idzie, bo przyszła do mnie ta pani, co sprząta”. Sprawdzają, czy dokładnie zostały wytarte kurze, zaglądają pod łóżka i w każdą szparę, a gdy się coś nie podoba, każą poprawiać.

Mają różne swoje dziwactwa. Bywa, że nie podoba się twarz siostry, że się nie uśmiechnęła, albo właśnie, że się uśmiechnęła i już od progu dziękują za pomoc. Trzeba spełniać ich wszystkie życzenia. „Po co pani do mnie przychodzi, ja damy do towarzystwa nie potrzebuje” — usłyszałam od jednej podopiecznej.

Zakupy dla chorych są bardzo denerwujące. Jesteśmy posadzone o to, że zaopatrujemy w mięso całą rodzinę, albo nawet ulicę. Jest to bardzo krzywdzące. A boli podwójnie, gdyż najczęściej w kolejkach najgłośniejsze na nas krzyczą i wyzywają członkowie rodzin naszych podopiecznych. Kiedyś nawet interweniowała milicja, bo syn podopiecznej narobił strasznego hałasu i bałaganu.

Zdarza się, że rodzina chorego mieszka w Łomży, dzieci zajmują wysokie stanowiska, a ich rodzice żyją w opłakanych warunkach. Czasami słyszy się jakby ciche usprawiedliwienie, że „matka nie da posprzątać, nie da się umyć”, które niemal natychmiast zagłusza zimne stwierdzenie: „Im za to płacą, niech robią!” Zawsze też rodzina „odnajdzie się”, gdy chory umrze. Kiedyś przy zmarłym znalazłam dużo pieniędzy — 600 tysięcy. Wszystko oddałam rodzinie, byli mocno zdziwieni i długo nie mogli uwierzyć, że są to pieniądze ich krewnego.

Jeszcze w ubiegłym roku miałyśmy duże kłopoty z zaopatrzeniem podopiecznych w opał. W tym roku spotykamy się z dużym zrozumieniem kierownika składu opałowego w Łomży i przy okazji serdecznie mu dziękujemy za pomoc.

ZOFIA SZUBA
siostra PCK od 13 lat

Sprawę robienia zakupów przez siostry PCK uregulował minister handlu wewnętrznego. W każdym sklepie wiszą ulotki informujące o tym, że obok inwalidów, inwalidów wojennych i kobiet ciężarnych, także siostry PCK mogą nabywać towary poza kolejnością. A więc mają prawo zaopatrywać się wszędzie, nie tylko w wyznaczonym sklepie. I chyba zakupy robią zwykle w sklepie położonym najbliżej podopiecznego.

Temat siostr znam od dawna. Były u mnie kilka razy i skarżyły się, że zakupy dokonują w skandalicznych warunkach. Każda z siostr ma trzech, czterech podopiecznych, więc ludzie z kolejki podejrzewają, że one zakupy robią sobie lub swoim rodzinom. Większe zakupy nie są mile widziane przez kolejkowiczów, więc wierzę w te wyzyski i różne oszczerstwa. Stałam się pomocą siostrze; rozmawiałam z kierownikami sklepów i uczuliłam ich na tę sprawę. Natomiast utworzenie sklepu tylko dla siostr i opiekunek PKPS nie jest możliwe, gdyż przynajmniej dwie ekspedientki musiałyby obsługiwać małą ilość klientów. Po prostu nie zarobiłyby na siebie i jeszcze jednego dnia pewnie sprzedawałyby towar trzem paniom, innego dwunastu, a co by zrobiły z pozostałą masą towaru? Poza tym zapewne inne grupy również chciałyby mieć oddzielne sklepy, na przykład kobiety ciężarne czy inwalidzi.

Stoisko z towarami dla bezglutenowców i diabetyków jest w delikatesach. Brakuje u nas kaszek, kleików i innych artykułów dietetycznych, które są centralnie dzielone. Ludzie, którzy je nabywają, mają zaświadczenia lekarskie. Więc trudno tworzyć specjalne stoisko i nie mieć towarów. Ostatnio ryż, nawet błyskawiczny, i różnego rodzaju kasze są w ciągłej sprzedaży, a można z tych artykułów przyrządzać posiłki dietetyczne.

TERESA KASPERKIEWICZ
wiceprezes
do spraw handlu i usług
PSS „Społem” w Łomży

» * «

Pierwszy raz słyszę o potrzebie wyznaczenia specjalnych sklepów dla siostr PCK. Podejrzewam, że siostry zaopatrują się we wszystkich sklepach, ale skoro istnieje taka konieczność, można wyznaczyć oprócz sklepu przy ulicy Buczka jeszcze ze dwa, w których siostry robiłyby mięsne zakupy w ściśle określonym dniu i godzinach. Natomiast połączenie sprzedaży mięsa i wędlin jest niemożliwe i od nas niezależne; zabraniają tego przepisy sanitarne.

ALICJA TRUSZKOWSKA
kierownik
Wydziału Handlu,
Drobnej Wytwórczości i Usług
Urzędu Miasta w Łomży

choroby samotnych

Wśród naszych podopiecznych mało jest osób prawdziwie samotnych. Zdarza się, że nawet mieszkają z synem lub wnuczką i to ukrywają. Jednak zawsze rodzina odnajduje się w chwili śmierci krewnego. Wtedy ubiega się o mieszkanie po zmarłym, o jego rzeczy, pieniądze.

Osoby rzeczywiście samotne mają opiekę w soboty i niedziele. Zgłaszają się do nas ludzie, którzy sami opiekują się swoją matką lub ojcem i u nas za to upominają się o pieniądze.

BARBARA DOBRZYŃSKA
kierownik
placówki terenowej PCK
w Łomży

» * «

Potrzebujących pomocy zgłaszają do nas lekarze rejonowi, siostry przygotowują PCK, sąsiedzi. Zgłoszeni otrzymują opiekę w ciągu tygodnia, jeżeli istnieje taka potrzeba nawet z dnia na dzień. Każda siostra przechodzi sześciotygodniowy kurs systemem przywarsztatowym i jest odpowiednio przygotowana do wykonywania swoich obowiązków. Podopieczni są różni, mają różne charaktery, nastroje, są „skrzywie-

Opiekowałam się małżeństwem, które handlowało wódką. Rodzina „podciągała” im pieniądze, a mnie posadzono o kradzież 24 tysięcy zł i jeszcze iluś dolarów. Nikt mi wcześniej nie powiedział o tym oszczerstwie, dopiero rewizja w moim domu mi wszystko wyjaśniła. Następnego dnia w domu tych podopiecznych zostałam wyzwana od kurew. A przecież wszystko było nieprawdą! Byłam załamana. Do tej pory nikt mnie nie przeprosił.

Siostra PCK od 12 lat
(nazwisko do wiadomości redakcji)

» * «

To fakt, że często spotykamy się z drastycznymi przypadkami. Ale bywa i tak, że podopieczni podziękują za pomoc, są wyrozumiali, szanują naszą pracę, a nawet pamiętają o naszych imiennach. Są domy, do których chce się chodzić. Każdego dnia sprzątam wszędzie, ale nazajutrz tylko w niektórych pomieszczeniach jest ślad po naszej wcześniejszej pracy.

DANIELA GRUNWALD
siostra PCK od 6 lat

specjalne sklepy?

Siostry skarżyły się na trudności w zaopatrzeniu podopiecznych w artykuły dietetyczne oraz mięso i wędlinę. Kontaktowaliśmy się z PSS „Społem”. W lipcu bieżącego roku pisemnie prosiliśmy o umożliwienie zakupów naszym pracownikom w kilku punktach miasta oraz o utworzenie stoiska dla dietetyków w wyznaczonym sklepie. Do tej pory nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi.

Dla rozwiązania wątpliwości i fałszywych podejrzeń wydajemy siostrze specjalne zaświadczenia, które informują, iloma chorymi obecnie się opiekują. Chyba nigdy siostry nie zgłaszały żadnych uwag i pretensji pod adresem ekspedientek, lecz tylko kolejkowiczów, którym niejednokrotnie musiały się legitymować.

MALGORZATA WIŚNIEWSKA
kierownik
Punktu Opieki PCK nr 2
w Łomży

przez
minister
ważnym
jące o
alidów
tak
ac to
e ma-
zędzie,
klepie,
e w
dopie-

ławna,
arżyły
skan-
da z
dopie-
ki po-
ia so-
iększe
przez
w te
Sta-
rozma-
pów i
Nato-
ko dla
ie jest
dwie
ugiwać
tu nie
jedne-
towa-
stu, a
sa to-
gru-
dziel-
ty cię-

zglute-
deli-
kaszek,
diete-
wywaja,
Więc
bisko i
ż, na-
rodza-
laży, a
rzyrzą-

EWICZ
prezes
i usług
Łomży

trzeba
klepów
ze
ystkich
ka ko-
oprócz
jeszcze
obliłyby
kreślo-
miast
i we-
as nie-
rzepisy

WSKA
ownik
andlu,
Usług
Łomży

ch ma-
otnych.
kaja z
krywa-
najdu-
wnego.
nie po-
adze.
e ma-
e, któ-
matka
minaja

NSKA
ownik
j PCK
Łomży

asają
ry po-
eni o-
godnia,
nawet
prze-
s sy-
i jest
o wy-
w.
różne
zywie-

ni" przez chorobę, samotność. Trze-
ba wejść w to środowisko i je zro-
zumieć. Często siostra jest dla pod-
opiecznych jedyną przyjazną duszą.
Przecież bywa, że otwierają przed
nią swoje serca, żalą się na swoje
dzieci, na starość, wspominają.
Przywiązują się do odwiedzających
je siostr, piszą do Zarządu Miejskie-
go listy pochwalne, by właśnie ta
siostra była z nimi nadal.

Inni natomiast skarżą, wymyślają
oszczerstwa i na przykład terrory-
zują siostrę słuchaniem nagranych
kłótni podopiecznej z sąsiadami.

KRYSTYNA JEMIELITY
kierownik
Punktu Opieki PCK nr 1
w Łomży

* * *

Przydałby się dom spokojnej sta-
rości, szczególnie dla samotnych ze
wsi. W środowiskach wiejskich sprawa
opieki wygląda najgorzej. Sąsie-
dzi często odmawiają pomocy, bo
są skłóceni, bo nie chcą. My też nie
wszędzie możemy dotrzeć, na przy-
kład w gminie Rutki mamy pod-
opieczną, do której najpierw trzeba
jechać 7 km autobusem, a potem
jeszcze dojść pieszo 3 km, bo mie-
szka na kolonii pod samym lasem.
Sama siostra jesienią porą, czy na-
wet letnim wieczorem, boi się tam
chodzić.

W Łomży są trzy punkty opieki
PCK. Wszystkie mieszczą się w jed-
nym pokoju w przychodni przy
Szpitalu Zambrowskiej. Jest to zna-
czne utrudnienie pracy, bo nie ma
gdzie i jak przeprowadzić szkolenia
praktycznego siostr, narad. Najle-
piej byłoby, gdyby jeden punkt zna-
lazł siedzibę w Łomży, drugi w
osiedlu Południe, a trzeci pozostał-
by w centrum.

IRENA ZEJER
kierownik
Wydziału Pomocy Społecznej
Zarządu Wojewódzkiego PCK
w Łomży

okrucy wdzięczności

„Skladam serdeczne podziękowa-
nie za dotychczasową pomoc, a w
szczególności tej ostatniej Pani, któ-
ra się mną opiekuje. To jest czło-
wiek na właściwym miejscu, z wła-
ściwym podejściem, cierpliwością.
[...] Dla tej Pani mam wiele wdzię-
czności, której słowami nie da się
wyrazić. To nie znaczy, że inne Pa-
nie były złe, przeciwnie, wszystkie,
które mną się opiekowały, były
bardzo dobre. Bardzo dziękuję za
wszystko, co dotychczas zrobiło dla
mnie PCK. Nawet w najsmielszych
marzeniach nie myślałam, że siostry
PCK są tak dobrymi ludźmi. [...]”

Jeszcze raz składam podziękowa-
nie za pomoc, która mnie wprawia
w podziw i utwierdza, że warto żyć,
gdyż można liczyć na ludzi życzli-
wych z PCK, którzy bezinteresow-
nie czynią wiele dobrego dla ludzi
samotnych i chorych.”

ANTONI CIBOROWSKI
Łomża

* * *

„Przekazuję wyrazy uznania dla
pracy siostry PCK [...]. Przez kilka
miesięcy bardzo dobrze wywiązy-
wała się ze swoich obowiązków, o-
piekując się obłożnie chorą mamu-
sią. Jest sumienna, pracowita, obo-
wiązkowa. Potrafi fachowo opieko-
wać się chorymi, jak najlepszą pie-
lęgniarką. Wdzięczne jej jesteśmy
za opiekę. Miło by nam było, gdy-
by mogła pozostać u nas dłużej.
Wnosi ze sobą do domu tyle rado-
ści i uśmiechu. I mamusia tak się
cieszy, gdy siostra się nią opie-
kuje.”

BARBARA DĘBOWSKA
Łomża

* * *

„Ulegając naleganiom matki zwrac-
am się z uprzejmą prośbą o pono-
wne powierzenie opieki nad matką
siostrze Jadwidzie. W okresie poprze-
dniego spełniania swych obowiązków
pani Jadwidga wykazała się życzli-
wością, sumiennością i rozumieniem
życia osób potrzebujących opieki
obcych.”

WITOLD WSZEBOROWSKI
Łomża

* * *

„Siostra pogotowia PCK powinna
wzorowo wykonywać swe obowiązki
oraz być faktycznym przyjacielem
i opiekunem chorego, a także każ-
dego oczekującego opieki lub po-
mocy.”

(z „Zakresu pracy siostry”)
Przygotowała
MARIA TOCKA

WŁADYSŁAW TOCKI

Ta sprawa, ciągnąca się już
kilkanaście lat, wygląda na
typowy, pieniaczy spór o
miedzę. Pozornie różni ją tylko
wielkość roszczeń: nie chodzi o
wgranie się na „całe trzy palce”,
lecz o hektar niezłej ziemi. Oto
„skrót skrótów” całej historii, w
której uczestniczyły wszelkie moż-
liwe instancje, od naczelnika gmi-
ny po ministra i Prokuraturę Ge-
neralną:

We wsi Franki Dąbrowa po są-
siedzku gospodarzyło dwóch bra-
ci — Andrzej i Leopold Kropiew-
niccy. Gospodarstwa odziedziczyli,
w wyniku nieformalnego działu
spadku, po ojcu Antonim. W gospo-
darstwie Andrzeja mieli swój u-
dział inni członkowie rodziny, ale
godzili się na istniejący stan rze-
czy. W 1958 roku, po nieporozu-
mieniach między braćmi, Leopold
zorał hektar ziemi, użytkowanej
dotąd przez Andrzeja. Andrzej
wniósł sprawę do Sądu Rejonowe-
go w Wysokiem Mazowieckiem, któ-
ry przywrócił mu naruszony stan
posiadania. Wówczas doszło ponoć
(piszę „ponoć”, gdyż Andrzej i jego
żona już nie żyją, więc mogę się
opierać jedynie na relacji jednej
strony) do zjazdu rodzinnego i w
wyniku wspólnych ustaleń Andrzej
nie egzekwował postępowania sądu,
a sporny hektar pozostał w użytko-
waniu Leopolda. Mijały lata. W
1969 roku Andrzej przed śmiercią
sporządził testament, w którym
wszystko, co posiadał, zapisał swej
żonie Konstancji. Wkrótce umarł.
Trzy lata później, 4 listopada 1971
roku weszła w życie ustawa uwłas-
zczeniowa. Obejmowała ona również
rolników, którzy w dniu wejścia jej
w życie „niezależnie od podstawy i
sposobu objęcia nieruchomości w
posiadanie — władali nią nie-
przerwanie przez pięć lat jako po-

CZY MINISTER MA RACJĘ?

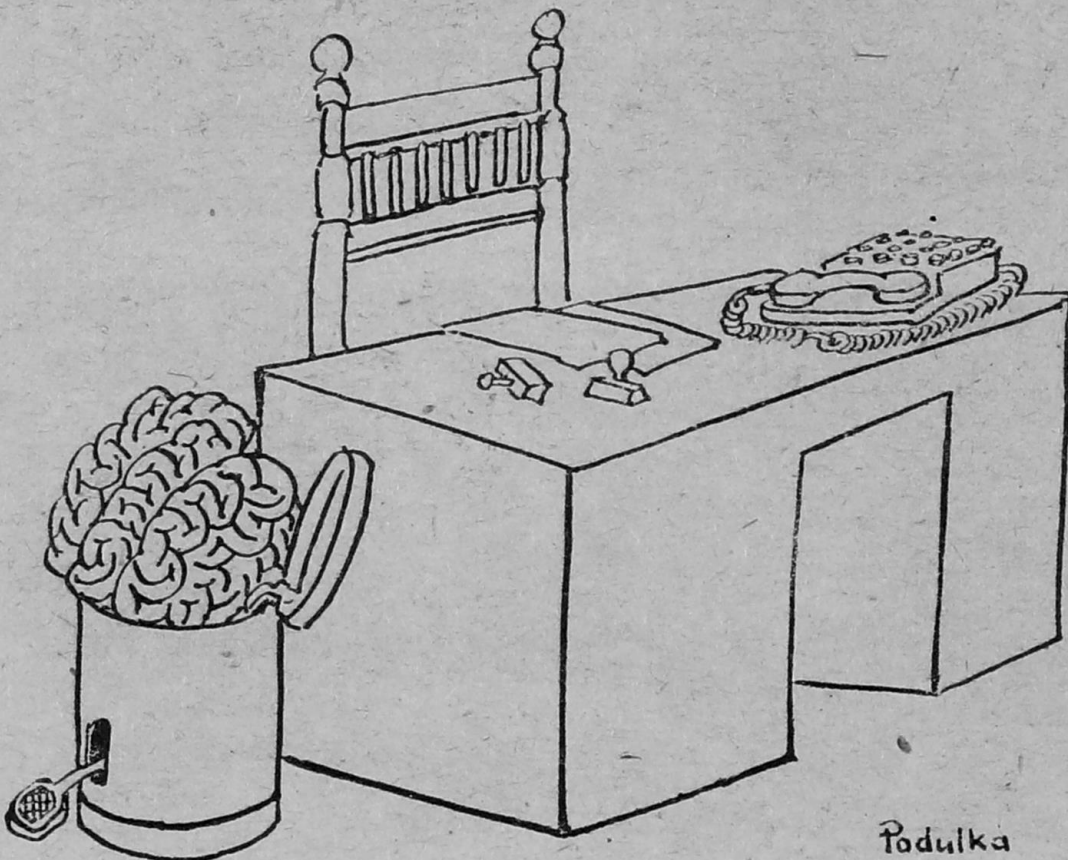
siadacze samoistni w dobrej wierze,
bądź też, jeżeli posiadanie zostało
uzyskane w złej wierze, byli posia-
dacami przez lat dziesięć”.

Leopold Kropiewnicki w dniu
wejścia ustawy w życie był posia-
daczem spornego hektara od 1958
roku. Przyjmując nawet, iż został
nim w złej wierze, hektar ów po-
winien stać się jego własnością „z
mocy samego prawa”. Tak się jed-
nak nie stało. W wyniku admini-
stracyjnego postępowania uwłas-
zczeniowego całe gospodarstwo, w
tym hektar nadal użytkowany przez
Leopolda, stał się własnością żony
Andrzeja, Konstancji. I wtedy
właśnie się zaczęło: odwołania Le-
opolda (potem jego syna Stanisła-
wa) do wszelkich możliwych in-
stancji, z ministrem rolnictwa
włącznie. Wszędzie bezskutecznie.
Dlaczego? Stanisław Kropiewnicki
twierdzi, że z powodu pomijania do-
wodów, które świadczą, iż jego oj-
ciec Leopold, a potem on sam,
faktycznie użytkował ów hektar
ziemi od 1958 roku i nadal zresz-
tą użytkuje. Z tej też przyczyny po-
raz kolejny napisał skargę do mi-
nistra rolnictwa za pośrednictwem
„Kontaktów” (nr 15/1987). W odpo-
wiedzi („Kontakty” nr 33/1987)
podsekretarz stanu, dr inż. Stani-
sław Sliwiński napisał, iż „sprawa
Stanisława Kropiewnickiego była
wielokrotnie badana”. Poinformo-
wał jednocześnie, iż minister prze-
kazał akta sprawy Prokuraturze
Generalnej PRL: „celem zbadania
legalności wydanych w tej sprawie
decyzji organów administracji pań-
stwowej”. Zastępca prokuratora
generalnego, Józef Szewczyk, w od-
powiedzi na pismo ministra oświad-
czył, iż „nie stwierdzono podstaw
do kwestionowania decyzji Obywa-

tela Ministra z dnia 14 lutego 1986,
utrzymującej w mocy decyzję dy-
rektora Wydziału Geodezji i Gospo-
darki Gruntami w Łomży z dnia 10
czerwca 1985 r. Fakt samoistnego
posiadania gruntów przez Konstancję
Kropiewnicką w dniu 4 listo-
pada 1971 roku nie budzi wątpli-
wości i zasadnie był podstawą
uwłaszczenia”.

Czy rzeczywiście nie budzi wąt-
pliwości odnośnie owego spornego
hektara? Czy 4 listopada 1971 roku
od 13 lat nie posiadał go (niefor-
malnie) Leopold Kropiewnicki? Ze
tak faktycznie było, dowiodła sa-
ma Kropiewnicka. Oto bowiem, do-
piero po uzyskaniu aktu własności
na całe gospodarstwo, wystąpiła w
czerwcu 1982 roku do Sądu Rejono-
wego w Zambrowie o przeniesienie
klauzuli wykonalności (czyli egze-
kucji) wyroku Sądu Rejonowego w
Wysokiem Mazowieckiem z 1958 ro-
ku. Sąd w Zambrowie wniosek od-
rzucił, ale Sąd Wojewódzki w Łom-
ży w październiku 1982 roku go u-
względnił. Jaki stąd można wycią-
gnąć wniosek? Ze Leopold, a potem
Stanisław Kropiewnicki, mimo wy-
roku faktycznie użytkowali ziemię
do 1982 r. Potwierdza to reszta
inna sprawa i wyrok. W tymże
1982 roku Konstancja wystąpiła do
Sądu Rejonowego w Zambrowie z
pozwem przeciwko Leopoldowi i
Stanisławowi o zwrot kwoty 14 500
złotych, „z tytułu zapłaconych za
nich podatków”. W uzasadnieniu
napisała: „Od dwudziestu lat opła-
cam podatki gruntowe z 1 ha grun-
tu położonego w ograniczeniu wsi
Franki Dąbrowa. Od tego czasu po-
siadaczem i użytkownikiem tego
gruntu są pozowani Leopold i Stani-
sław Kropiewniccy.” Jeden ze
świadków Konstancji powiedział:
„Wiem, że pozowani wzięli coś w
1959 roku od Kropiewnickiego An-
drzeja [...]”. Długości było gdzieś
około 500 metrów, a szerokości nie
znam”. W 1958 roku Andrzej wy-
stępował właśnie o zwrot ziemi „o
szerokości 17 metrów i długości
500 metrów”. Sąd Rejonowy w
Zambrowie, wyrokiem z dnia 25
kwietnia 1983 roku, uwzględnił ro-
szczenia Konstancji. Tym samym
doszedł do przekonania, że Leopold
i Stanisław Kropiewniccy od lat
użytkowali ziemię, o powierzchni
wskazanej przez ich krewniackę.

Dlaczego do podobnego przekonania nie mogła dojść Po-
wiatowa, a później Woje-
wódzka Komisja Ułaszczeniowa?
Błąd powstał bowiem gdzieś na
dole. Uwzględnienie przytoczonych
dowodów musi zaś budzić co naj-
mniej wątpliwości, czy rzeczywiście
w tej sprawie nie „nie budzi wąt-
pliwości”. Może więc Ministerstwo
Rolnictwa, ewentualnie Prokuratu-
ra Generalna, sięgnie po akta spo-
czywające w sądach w Łomży i
Zambrowie i raz jeszcze całą sprawę
skrupulatnie przeanalizuje?
Choćby po to, żeby wreszcie wyeli-
minować wątpliwość najmniejszą.



Podulka

Rys. Andrzeja Podulki

zaczajona czerwotka

Nareszcie wybuchła epidemia czer-
wonki! Jak dobrze, że w końcu ktoś
sprowadził ją z ni-ba do serka, z
serka do żółtka, z żółtka do
krwi. Wspaniałe efekty długo oczę-
kiwanej epidemii już widać. Wszę-
dzie szoruje się podłogi, trwa od-
szczyrzanie, odmyśzanie. „Prusako-
lep” w akcji!

Niestety, to wszystko dzieje się
za granicą województwa łomżyń-
skiego. My czekamy. Gdzie ukryłaś
się, czerwotka?

Rano wstaję, ubieram się, myję i
biegnę do sklepu. Puste butelki
wymieniam na pełne mleko. Chcę
wziąć z półki chleb. Szukam roz-
paczliwie kawałka papieru, aby z
góry pieczywa wybrać świeże. Pa-
piernu nie ma. Chwytałem bochenek z
samego szczytu. Jest czerstwy. Trud-
no: „Pieczywo dotknięte uważa się
za sprzedane”. Idę do kasy i wy-
ciagam siedlisko zarasków, czyli
pieniądze. Tymczasem pani, która
parę minut temu myła cuchnącą
ścierką ładę, układa na półce ko-
lejne bochenki chleba.

Do sklepu wchodzi pani z pies-
kiem. Piesek podbiega do kosza z
buleczkami, wacha je, oblizuje. Nikt
nie reaguje. Pieskowi wolno, mnie
nie.

Siedząc na balkonie patrzę na
dzieci, bawiące się w pseudopias-
kowicy. Czy ktoś kiedyś wpadł

kontakty kontaktów

na pomysł, aby obejrzeć ów pia-
sek pod mikroskopem? Właśnie
brzdącowi, budującemu babki z pias-
ku, mama wyniosła chlebek z ma-
sełkiem. Jedz dziecko, masz duże
szanse na rozpoczęcie epidemii w
Łomży.

Wynoszę wiadro ze śmieciami.
Śmietnik od paru dni nie widział
nic oprócz śmieci. Zatykając nos
wrzucam zawartość wiadra do kub-
ła zżeranego przez rdzę i starość.

Czerwotko, wyjdź ze śmietnika.
Dopiero gdy zobaczysz cię wszyscy,
będziemy mogli żyć w czystości.

GRAZYNA KULESZA-SZYPULSKA
Łomża

wizyta kominiarza

W przedostatni dzień lipca o go-
dzinie ósmej rano odwiedził mój
dom kominiarz. Mąż w tym czasie
był w leżnicy zwierząt, a ja u te-
ścia za Wizną. W domu zostało dwo-
je dzieci (15 i 13 lat). Mieszkamy

na kolonii, obejście mamy ogra-
dzone, po podwórzu zawsze biega-
ją dwa psy, a na bramce wisi tab-
liczka „Uwaga, zły pies”.

Kiedy kominiarz pukał do bram-
ki, dzieci nie wyszły do niego, gdyż
zakazaliśmy im wpuszczać do domu
obcych ludzi w czasie naszej nie-
obecności. Przybyły wpadł na wspa-
niały pomysł i zaczął rzucać w
psy kamieniami. Potem otworzył
bramkę na oścież, wypuścił psy na
drogę i sprawdził, czy domownicy
są w domu. Koło naszego domu
przechodzą ludzie, spacerują dzie-
ci z kolonii letnich, a psy, niestety,
grzą. Dobrze, że moje dzieci
w miarę szybko zamknęły furtkę.
A gdyby psy pogryzły kogoś? Za-
stanawiam się, kto wówczas po-
krywałby koszty leczenia i znisz-
czono ubrania.

Nadgorliwy był ten kominiarz, a
i tak nie otrzymałby od nas za-
płaty. W centralnym ogrzewaniu
skończyliśmy palić w kwietniu i
wówczas uiszciliśmy stosowną opłatę,
a trzonu kuchennego nie posiadamy.
Gotuję na kuchni gazowej i gaz
mam zarejestrowany w gazowni w
Łomży.

Uprzejmie proszę o wyjaśnienie,
czy tak powinien postępować ko-
miniarz. A może kominiarze są do
straszenia dzieci?

HELENA KUCZEWSKA
Wizna



Sroda. Szósta czterdzieści pięć. Pierwszy zjawia się Józef Markow i z Piątnicy Poduchownej. W ciągu dnia przewija się dwustu osiemdziesięciu dwóch dostawców. Harmonogram przewiduje na każdą wieś od 25 do 30 minut. Zaczyna Drożęcina i Piątnica Poduchowna, później w kolejności: Czarnocin, Kalinowo, Piątnica Włosciańska, Stara Łomża, Łomża, Peza, Budy Czarnockie, na krańcu Nagórki. Przywilej dostaw przez cały czas pracy punktu ma tylko Piątnica Poduchowna: bez wozaka i ustalonej przez wieś tzw. kolejki, czyli dyżurującego w tej roli w danym dniu gospodarza. Dzisiaj samochód (cysterna) przewidziany jest na dziesiątą dwadzieścia.

Z terminami w tej białej branży różnie jednak bywa. Barbara Zarańska, kierowniczka punktu skupu mleka w Piątnicy (9 lat pracy) i

z gospodarstwa Krzysztofa Banacha (średnio — 4), młodego rolnika z Kalinowa; także Jana Darmetko z Bud Czarnockich (3,8—3,9) i Tomasza Bargielskiego z Kalinowa (3,6 proc.). W województwie łomżyńskim mleko zaliczone do I klasy stanowi 80—82 proc., II. — 10—11, III. — 7—9. Piątnicka OSM ma w swoim rejonie 62 punkty skupu mleka, w całym województwie jest ich 315.

Drugi września 1987: kontrolerzy Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej postanawiają przyrzec się pracy punktów w Jezioroku, Konarzycach, Czaplicach, Krzewie i Piątnicy. W tym ostatnim funkcję społecznych inspektorów pełnią dziś: Edward Dorochowicz, na co dzień kierowca w miejscowej Gminnej Spółdzielni, Sławomir Jarząbek, magazynier w Łomżyńskich Zakładach Przemysłu Bawełnianego „Narew” i Jan Wyrwas, starszy oborowy w piątnickiej Stacji Hodowli i Unasienniania Zwierząt.

Siódma. Zaczyna się ruch. Wozak z Czarnocina przywiozł mleko od 77 dostawców. Halina Kozłowska bada najpierw kwasowość w każdej bańce. Potem próbki do przygoto-

nicy. Właśnie dwie gospodynie rozmawiają o mokrych żniwach. — Tutaj nigdy się nie czeka. — mówi. — Te panie są zawsze miłe, sprytnie, uwijają się jak moga. Jedna bierze próbę na kwasowość, druga na tłuszcz, żeby nie marnować czasu. Ludzie nieraz gadają o tej klasie, ale przecież one muszą swoje zrobić. Przecież każdemu na poczekaniu mogą zbadać próbki. My tam nie mamy pretensji. Żeby tak wszędzie pracowali.

Ośma piątnaście. Kalinowo i Piątnica Włosciańska. Brzęk otwieranych pokrywek, przesuwanych po cementowej podłodze baniek, odgłos odstawianych próbek, szum urządzeń przekazujących mleko do zbiornika na dziesięć tysięcy litrów. Nie zdarzyło się jeszcze, żeby był pełny; ubiegłoroczny rekord wyniósł 7500 litrów. Inspektorzy IRCh-y sprawdzają czystość pokrywki. Niestety, nie wszystkie są przykładem troski o dobro konsumenta. Spostrzeżenie wędruje do późniejszego protokołu. Kiedy do akcji wkracza sanepid, przez dzień — dwa przyjeżdżają do punktu nowiutki baniki, które można kupić bez trudności w OSM-owskim ma-

— Ubiegłoroczne upały to dopiero było! — wspomina Barbara Zarańska.

Inspektorzy IRCh-y postanawiają sprawdzić wiarygodność metody oznaczania zawartości tłuszczu w mleku. Pięć próbek zostanie zbieranych po pięć razy. Tolerancja do „jednej kreski”, czyli 0,1 proc. O prócz tego porównanych będzie 20 prób białych (jednorazowych) i okresowych.

Tymczasem znowu coś się dzieje: rolnik ze Starej Łomży pokazuje kwit wystawiony na nazwisko swojego ojca, chociaż to on jest właścicielem gospodarstwa i powinien otrzymywać pieniądze za sprzedane mleko na siebie. — A skąd ja mam to wiedzieć? — denerwuje się kierowniczka. — Rachunek wystawiamy na Józefa i tak idzie dalej. Trzeba to zgłosić w OSM-ie — wyjaśnia. — Tobie też mówiłem, żebyś zmienił — zwraca się rolnik do wozaka. — Ja? — dziwi się tamten. — A co mnie do tego? — Tu już niemożliwością wytrzymał — złości się dostawca. — Zawsze mniej wpisują niż oddałem, zaniżają tłuszcz. Nigdy nie wychodzi trzy procent, tylko dwa i sześć albo osiem.

— Zaraz sprawdzimy — mówią kontrolerzy. — W pana obecności.

Najpierw próba czystości. Wypada fatalnie; najgorzej ze wszystkich z dzisiejszej dostawy. Ponadto mleko jest ciepłe. Na uwagę Haliny Kozłowskiej mężczyzna reaguje najprostszym argumentem: — Na dworze ciepło, to musi być takie.

Wynik badania zawartości tłuszczu potwierdza wcześniejsze. Rolnikowi trudno się z tym pogodzić. Wykorzystując obecność inspektorów IRCh-y, prezesa piątnickiej OSM, naczelnika Wydziału Skupu Wojewódzkiego Związku Spółdzielni Mleczarskich opowiada o swoich perypetiach z punktem skupu. Tymczasem nadchodzi kolejka Drożęcina. Wozak, a zarazem sołtys, nie może rozpoznać kilku baniek — Czyje to mogą być? — zastanawia się głośno. — Zawsze tak jest, jak nie oznaczone — mówi Halina Kozłowska.

Podjeżdżają Nagórki. Na końcu będą jednak Budy Czarnockie. Za chwilę inspektorzy poznają wyniki zleconych badań. Metoda oznaczania zawartości tłuszczu, choć bardzo tradycyjna, okazuje się niezawodna. Zastrzeżenia budzą natomiast rezultaty innych prób. W siedmiu przypadkach trzeba badania powtórzyć, gdyż różnice w próbach jednorazowych i okresowych są bardzo znaczne, nawet o cztery kreski. Wina tłuszczomierzy czy klasyfikatora? Pracownicy punktu skupu są teraz jeszcze bardziej zdenerwowane. Przy dokręcaniu korka pęka nagle próbówka z kwasem siarkowym. Na szczęście dziury wypala tylko w fartuchu.

Po dziesiątej przyjeżdża cysterna. Gdy mleko przepływa ze zbiornika, pracownicy punktu sporządzają raport z dzisiejszej dostawy: procent zawartości tłuszczu — 3,6 proc., ilość dostawców — 277, mleka — 5801 litrów. Najwięcej przywiozł dziś Czarnocin — 1575. Powtórka badań poprawia nieco błędy; na 20 przypadków w 2 kontrolerzy stwierdzają zaniżenie zawartości tłuszczu w mleku na niekorzyść dostawcy (od 0,3 do 0,7 proc.).

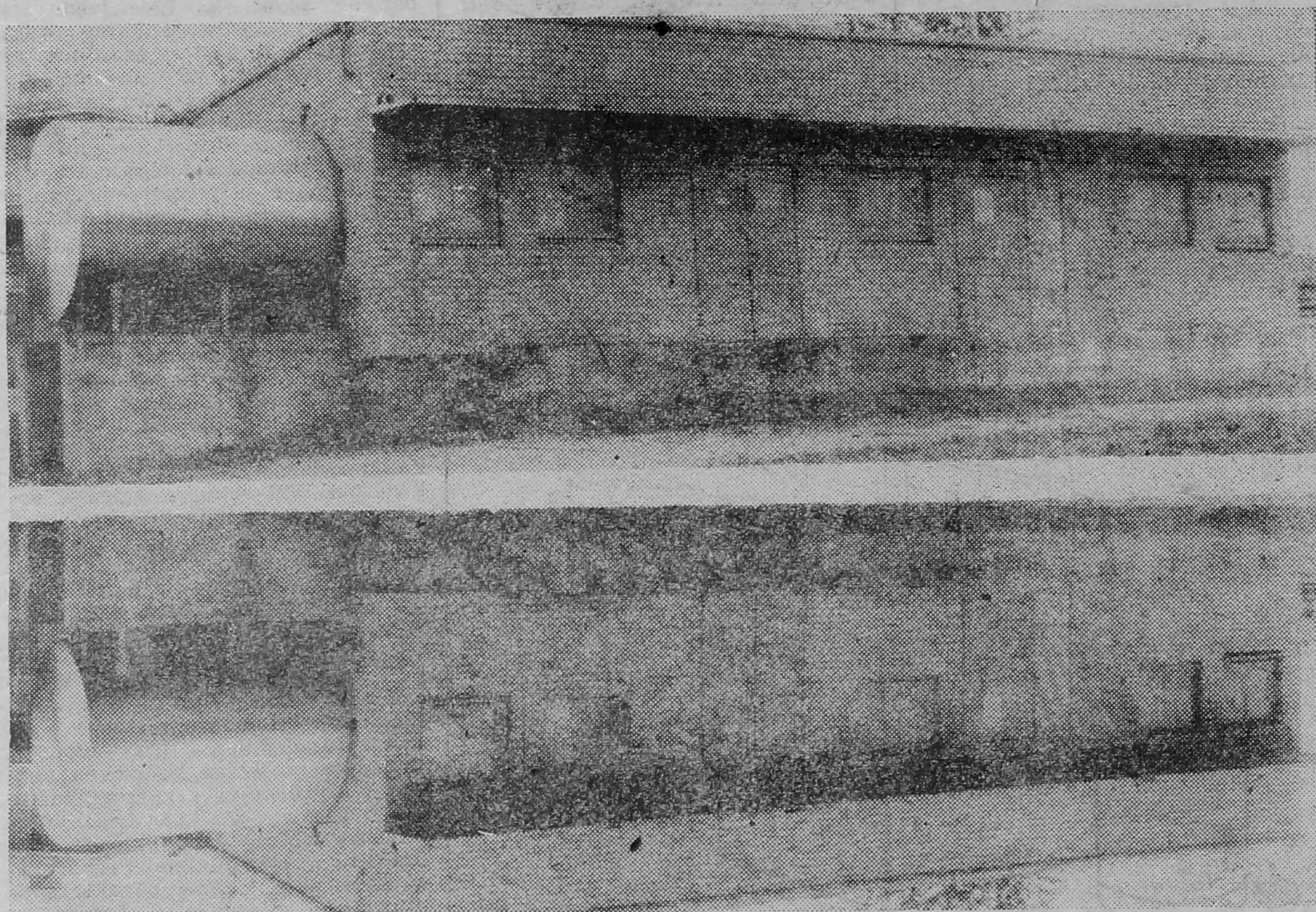
Cysterna odjeżdża. Na środku zlewni wielka mleczna kaluża. Pracownicy punktu myją posadzkę, tłuszczomierze, próbówki do badań jednorazowych. Mija południe. Kontrolerzy IRCh sporządzają protokół, dołączając poszczególne z prób okresowych i białych, wyniki badań zanieczyszczeń mechanicznych mleka i jednorazowych analiz mleka na zawartość tłuszczu — sprawdzianu dokładności tłuszczomierzy. Stan sanitarno-higieniczny punktu oceniał pozytywnie, dokumentacja (rejestr, karty dostaw, raporty wysyłki, zestawienia sprzedaży artykułów i pasz) wypełniana prawidłowo, do uporządkowania podręczny magazynek z niepotrzebnymi urządzeniami; brudne uszczelki w bankach także znalazły się w protokole.

Mija kolejny dzień pracy punktu skupu mleka w Piątnicy. Jutro, od 6.30, pierwszy przyjeżdża Drożęcina...

GABRIELA SZCZĘŚNA

Fot. GABORA LÖRINCZEGO
(jak i wszystkie nie podpisane w numerze)

punkt na mlecznej drodze



klasyfikatorki: Teresa Zarańska (13) i Halina Kozłowska (10), zakładają gumowe buty i białe fartuchy. Otwarty pojemnik z próbkami na zawartość tłuszczu, przygotowane próbki na tzw. próbę białą. Pierwszą kontroluje się dwa razy w miesiącu w obecności pięcioosobowego komitetu dostawców; dokładny harmonogram ich dyżurów znajduje się w widocznym miejscu. W ogóle „wypalanie” próbek, a raczej wynik przysparza wielu emocji zarówno pracownikom punktu, jak i dostawcom mleka. Klótnie, podejrzenia o zawyżanie innym, a zaniżanie zainteresowanemu, skargi i żale o niewłaściwym wpis w codziennym rejestrze dostaw mleka to, normalne zjawisko. — Ile się nasłuchamy, nadennerujemy — mówi kierowniczka. — Zdarza się, że nawet próbki czystości mleka lub biała, sporządzone na oczach rolnika, też go nie przekonują.

Pracownicy potrafią po latach doświadczenia przewidzieć, który dostawca przywiezie mleko I, II lub III klasy. Składa się na nią ciężar właściwy, zanieczyszczenia, próba reduktazowa i Whiteside'a, zawartość substancji hamujących (np. penicylina lub proszek do prania po niedokładnym myciu pojemników). Co miesiąc laboratorium Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej w Piątnicy przeprowadza dokładną analizę. W sierpniu najlepiej wypadły Nagórki, Drożęcina i Piątnica Poduchowna; najgorzej — Kalinowo i Czarnocin. Wysoka procent zawartości tłuszczu ma mleko krów

wanych próbek, miara dostarczonej ilości, wpis do rejestru, który musi zgadzać się z kartą dostawy mleka w posiadaniu rolnika. Wozaka „zgodzili” tylko cztery wsie: Kalinowo, Piątnica Włosciańska, Stara Łomża i Czarnocin. O tej funkcji mówi się i w OSM-ie, i w poszczególnych miejscowościach, że niewdzięczna, ciężka i trudna: wstawać skoro świt, nanosić się baniek na wóz, potem z wozu w skupie i z powrotem na wóz, choć już puste; do tego piątek, świętek, i niedziela z wyjątkiem pierwszego dnia świąt Bożego Narodzenia i Wielkiejnocy. A pieniądze? Średnio dwadzieścia tysięcy. Najgorzej zimą, gdy mleko zamraża po drodze. W punkcie skupu traci czas i wozak, i zatrudnione tu kobiety. W ogóle ta pora roku mrozi samym wspomnieniem. — Zakładamy gumofilce — mówi Teresa Zarańska. — Drzwi otwarte na oścież, śliska podłoga, ręce grabieją.

Tylko dostawcy wiedzą, że punkt czynny jest od 6.30 do 9.00. Praca kierowniczk i klasyfikatorki skończy się dopiero po uzupełnieniu dokumentacji, wykonaniu prób i — po odjeździe OSM-owskiej cysterny — sprzątnięciu wszystkich pomieszczeń. Co prawda są tylko dwa (zlewnia i „laboratorium”), ale kobiety dbają o czystość.

Siódma pięćdziesiąt pięć. W kolejce czekają konie i ciagniki. Teraz Peza. Zanim baniki zostaną przeniesione do pomieszczenia, „załatwiani” są dostawcy z Pią-

gazynie. Oprócz tego paszę, mleko w proszku, mlekomicz, płyn do mycia koni. — Potem pretensje, żale, klótnie — mówi kierowniczka. — Trzeba każdemu oddzielnie tłumaczyć, że podstawową sprawą jest czystość. Ludzie nieraz się dziwią, oglądając próbki z dostarczonego mleka. Wywieszamy je w gablocie, umieszczając na każdej numer dostawy. Mogą je porównać z innymi. Nie zawsze, niestety, wyciągają z tego wnioski.

Na tablicy ogłoszeń obok cennika skupu mleka obowiązującego od 1 lipca 1987 r. i „Regulaminu systemu reklamacyjnego przy ocenie jakości mleka obowiązującego na terenie województwa łomżyńskiego”, informacja Wojewódzkiego Zakładu Weterynarii w Łomży o cenach usług weterynaryjnych, „które mają zastosowanie przy wykonywaniu przez nasze laboratorium badań odwoławczych przy ocenie jakościowej skupowanego mleka”. Najłatwiej jednak wyrzucić swoje żale tutaj, na miejscu. — Tłumaczymy, wyjaśniamy — mówią pracownicy. — Ludzie i tak wiedzą swoje; trudno przekonać ich na przykład do oceny krów przez zootechnika, a potem przestrzegając norm dochodzić swojego. Wszystko na odwrót.

Książka skarg i wniosków — półka i pusta. Cieszyć się, czy zastanawiać dlaczego?

Zamieszanie w kolejności sprawdzania zawartości baniek.

Jest „kwaśna” z Kalinowa — odstawiona. Wróci do właściciela.



„łatwe zielone”. A „łatwe” leżą w kieszeni kolegi, który jutro leci do kraju. Nawet nie jego, bo on już przekazał przez bank, ale znajomych, którzy po 200, 300 dolarów przesyłają rodzinie. Niektórzy (tu- taj spokojni) naraz stają się agresywni, chciwość ich zniewala. Posuwają się nawet do zbrodni. Inni inaczej, tworzą gangi z zamiarem na odlatujących rodaków. Zabierają wszystko.

„Łatwy dolar” zdobywa się też na handlu narkotykami. To już nie jest 6 dolarów na godzinę, ale i ryzyko ogromne. Można dostać i osiem lat więzienia. Wiedzą, komu to się przytrafiło, więc od narkotyków z daleka. — Trzeba mieć w sobie coś z szaleństwa.

z tej klatki czworo z tamtej ośmiu

Ulica willowa; z tej ulicy dwa- naście osób jest tam, cztery jadą w tym miesiącu. Trzech właśnie wróciło. Kto wyjeżdża? Najbardziej odważni. W wielu rodzinach okazuje się, że najbardziej odważne, przedsiębiorcze są kobiety. One jadą najpierw. Następnie sprowadza- ją mężów, braci. Zostawiają nie- raz małe, 2-3-letnie dzieci pod opieką krewnych. Ameryka jest sil- niejsza. Wyjeżdżają aktywni, ci, którzy wierzą w siebie, chcą spraw- dzić, na ile warta jest ta wiara. Jakimi stają się po powrocie?

Obok motywów materialnych by- wają też inne: na przykład nie- docenienie zawodowe. Inżynier in- formatyk (jeszcze niedawno — co z takim zrobić w zakładzie?) dzisiaj jest wykładowcą na jednym z za- chodnich uniwersytetów. Joanna B., nauczycielka, 28-letnia panna, liczy- ła na poznanie kogoś „od serca”. Jej się nie udało: „W ciągu pół roku nie otrzymałam z Polski ani jednego optymistycznego listu. I chcę wracać. Minęło już dziewięć miesięcy, a ja powtarzam sobie — jestem tu tylko na chwilę. Moi pracodawcy są bardzo mili, każ- dego informują, że pracuję jako „dziewczyna do dzieci” i że traktu- ją mnie jak członka rodziny. Tzn. mogę z nimi jeść przy stole, ucze- stniczyć w przyjęciach. Dziewczyny, które pracują podobnie, nigdy nie są zapraszane na obiad, na kolację. Siedzą w kuchni, myją naczynia. To, co zostanie na półmiskach, jest dla nich. Nie mam planów na przy- szłość, nie wiem, co będzie dalej”.

Krystyna M. pojechała do Kana- dy odwiedzić syna: „Jest tu bardzo pięknie, jeżdżymy codziennie nad jezioro i jemy pomarańcze, ananasy, banany, winogrona. Tutaj liczy się jednak tylko pieniądź. Nie mogę więc tylko być gościem, nawet u Rysia. Znalazłam sobie pracę, opie- kę nad niemowlęciem, 300 dolarów, kilka godzin dziennie. Będę się le- piej czuła, partycypując w kosz- tach”.

Jadą też i tacy, którzy nie zno- szą „mieć nad sobą pana”. Tutaj sprzedają lodę, oferują różne usłu- gi, jeżdżą taksówkami — na razie tyle, byle niezależnie. Robią cokol- wiek, po różnych doświadczeniach w państwowych zakładach, żyją z poczuciem czasowego luzu i samo- dzielności. Często jest to robota po- zorna lub też pozorowana.

król życia

Stał na lotnisku i słuchał mowy, ale nie usłyszał ani jednego polskie- go słowa. Leżał do Nowego Jorku z „Podwieczorkiem” przy mikrofo- nie, potem „Podwieczorem” odje- chał autokarem, a on został sam. W torbie miał krakowską i przemy- coną butelkę spirytusu na powita- nie. Wsiadł do taksówki i pokazał adres kolegi na liście od rodziny. Tak zaczęła się „Bystry” Amery- ka. Na drugi dzień, na potężnym kacu, już pracował w „Delikate- sach”, a potem w tej rybnej res- tauracji, przy maszynie do mycia naczyń.

— Nie wstydę się tej pracy — śmieje się „Bystry” — przede mną na tym stanowisku pracował profe- sor z Warszawy i prokurator.

W międzynarodowej obsadzie „By- stry” szybko znalazł miejsce szczegól- ne. Ogromna lodówka warczy, wy- noszą ją na werandę, na złom. On się dziwi, przecież można ją napra-

wić. Zagląda do silnika, złożył u- szczelkę, lepszą niż była. Chodzi świetnie. Boss zadowolony, wszy- stkim pokazuje, opowiada. Potrzeb- ny był maleńki otwór w drzwiach. Boss po wiertarce, po fachowca, a on drutem przepalił dziurkę. Kon- sternacja. „Czym to zrobisz?” „A tym” — pokazał. Wsiadł tepe noże do oprawiania ryb. „Bystry” jeden sobie upatrzył, po kryjomu na- ostrzył, powiesił na miejsce. Gdy przyszli kucharze (było ich trzech i dwaj pomocnicy), wziął ten wy- ostrzony nóż i dalej o ramię po- ciągać, płuć, jakby kosę ostrzył. Ale nie na osetce przecież, a na własnej skórze. Patrzą na „Bystre- go”, co on też robi. A on daje nóż szefowi kuchni, ten następemu, każdy próbuje, dziwi się — jaką też skórę ma ten Polak, co tak świet- nie noże ostrzy. Zrobił bossowi pół- kę na książki, naprawił piec cen- tralnego ogrzewania — nie mogli się go nachwalić.

I „Bystry” już wkrótce bossa za- stępował, takie zyskał poważanie. Wiele spraw jednak nie mógł zro- zumieć: syn bossa (połowa włosów blond, połowa czerwone, brudny,

Pożegnanie było piękne — o czwar- tej rano odwiedził go z upominkami na lotnisko. — Jakoś tak człowiek zateksnił..

Tutaj „Bystry” znowu jest tylko kierowcą. O Ameryce mówi z no- stalgią. Tu ma konto (był już, zresztą, i drugi raz, może poje- dzie i trzeci), ale tam był królem życia. Na zdjęciach kroczy po uli- cach z miną milionera. Rodzina cie- szy się z domu, z samochodów, a „Bystry” chodzi z tą Ameryką w sercu i nie może zapomnieć. Tam znaczył więcej niż dolary. Zyskał podziw, szacunek, zaufanie.

— Więcej? Nie. Po trupach po dolara. Gdybym się nie wstydział, po miesiącu bym wrócił. — „Ciem- ny” nerwowym ruchem poprawia włosy. — Człowiek musi się wszy- stkich bać. No i jeszcze ta tęskno- ta. I jeszcze wszystko rób sam. A w domu ugotowane, uprane, czeka.

Pomimo tych doświadczeń Ame- ryka ciągnęła, drugi raz chciał je- chać. („Chciałem? Musiałem. Dom trzeba było wykończyć, tyle wydat- ków”). Nie dostał wizy, wybrał dro- gę przez Meksyk. Pojechał z kole- gą, szybko nawiązali odpowiednie

Łomżyńskie



DO LORADO

zielony skafander), kupił nowe a- didasy, bo mu się porwało sznurow- wadło. Sznurowadła wziął, a nowe buty oddał „Bystremu”. Ten chciał mu oddać swój porządny skafan- der. „Mój był nie gut, a jego wery gut”. Ile tam się marnowało w tej restauracji. „Bystry” nie mógł spo- kojnie na to patrzeć. Do każdej ryby była świeża surówka. Goś- cie jej przeważnie nie jedli. Wyrzu- cano. On by lepiej prowadził tę restaurację.

Wyjechał bez znajomości języka, po kilku miesiącach zaprzyjaźnił się z Chińczykiem i nauczył go... po polsku. Próbował wszystkiego; musiał więc spróbować i „specjal- nego peta”, tak jak wszyscy. Gdy to Chińczyk zobaczył, ukląkł przed nim: „Wujku «Bystry», papież pa- trzy, jak ty palisz, rzuć”. Na uro- dziny dostał wspaniały tort, pili szampana i nie tylko. Kiedy po pół- tora roku stwierdził, że pora wró- cać, boss przestał się do niego od- zywać. A potem dał mu tydzień wolnego (płatnego) przed wyjazdem.

kontakty. Już jest przewodnik — jadą autobusem; góry, wioski, w biały dzień przechodzą graniczną Rio Grande, na zakręcie wskakują do pociągu. W towarowym wagonie — udało się — już jadą spokojni, wysiadą w Stanach.

Naraz pociąg zatrzymuje się. Pa- trzą: pole z jednej strony, pole z drugiej, a przed pociągiem zasieki z kolczastego drutu. Niedobrze. Ale może ich nie wykryją. Słyszą, jak strażnicy przeszukują dokładnie każ- dy wagon. Sprawdzają nawet, czy ktoś się nie ukrył pod dachem, co rusz to kogoś wyłuskują. Jak „Ciem- ny” z kolegą wyszedł przed zasie- ki, było tam już kilkanaście osób, uciekinierów. Z Hondurasu, Gwa- temali, Meksyku i oni dwaj z Pol- ski. Jeszcze nie wierzyli, że to ko- niec podróży — załadowali ich do ciężarówki, wiozą.

Przyjechali do więzienia. Cela czternaściosobowa, łóżka w rzędach. Tyle, że w celi był telefon, od ra- zu do kolegów SOS. Oni: „Nie bój-

cie się, wyciągnemy was”. Postarali się o adwokata. Pierwsze przesłu- chania. Mówią mi: „20 000 dolarów i jesteście wolni”. Skąd tyle pie- niędzy? Klęska zupełna. Siedzą, de- nerwują się, mieli przecież zarabiać dolary, a nie tracić w taki głupi sposób. Wreszcie sąd. Adwokat „się wykazał” — muszą zapłacić kaucję 2000 dolarów („jak to usłyszałem, to śmiać mi się chciało, liczyłem na pięć”). Koledzy wpłacają; adwokat wykupił bilety lotnicze do Nowego Jorku.

Pierwsze dni wśród kolegów — mieszkanie trzyosobowe zajmuje ok. 20 osób. Śpią na materacach na podłodze. Jest praca — rozbiórka domów („Dobry dom w śródmieściu, jednemu oplaca się go rozebrać, drugiemu na nowo stawiać, dziwny to kraj”). Nie dadzą posiedzieć, od- począć, popalić, trzeba się wykazać. „Ciemny” zmienia mieszkanie, już mieszka w czwórce. Wraca wieczó- rem, zwala się zmęczony. A prze- cięż trzeba jeszcze sobie jeść ugo- tować. Na jedzeniu nie wolno oszczędzać. Okropnie nie lubi tego gotowania.

Jest nieprzyzwyczajony do cięż- kiej pracy (po technikum drzew- nym), każdy dzień — to rozdarcie. Między chęcią powrotu, a czeka- niem na wypłatę. Wreszcie pienią- dze przeważają.

— Nauczyłem się wierzyć w sie- bie. Ile jestem wart? W przelicze- niu na dolary — sporo.

Już wie, że nie musi się bać. Ze- da sobie radę, ale przecież ma świa- domość, że są lepsi od niego. Le- piej potrafią się ustawić, mniejszym nakładem pracy. Może więc jeszcze raz zmierzy się z Ameryką?

czuje się upokorzona

— mówi „Brygadystka”. — Chcia- łabym pójść do pracy, a mąż nie daje. — Wrócił, chce mieć żonę w domu. To jest właściwie jedyny luksus, na jaki sobie pozwalają. — Cofam się w rozwoju. — I nagle pryska przekonanie, że na wszy- stko można sobie pozwolić, nie li- czyć pieniędzy od pierwszego do pierwszego. — Stoję w miejscu. On tego nie chce zrozumieć — powia- da z żalem.

Co się zmieniło, jak oni się zmie- nili? Co łączy, co dzieli?

— Jestem taki sam — „Gryf” nie mówi wszystkiego.

— Jakże może być taki sam — mówią koledzy — skoro tam ma syna? On pojedzie i zostanie. I zo- stawi żonę i dorosłe dzieci.

— Nie jestem już rozrzutna. Oj, nie — śmieje się Rita, której ręce nie wierzyły pierwszej wypłacie.

— Teraz wiem, co to jest dolar. Ciężko zarobiony. — „Bystry” ma wiele potrzeb. Do Bułgarii z żo- ną nie pojadą, rodzina się rozrasta. Żona nie przestanie pracować, zło- tówki też są potrzebne. Mają pla- ny na handlowe inwestycje.

Bogdan (po pięciu latach nieobec- ności) zmienił się fizycznie, wyły- siał, wychudł — dzieci go nie poz- nały. Obcy w swym „amerykań- skim” domu (żona „odwykła”, dzie- ci w swoim kieszonkowo-dolaro- wym świecie) — rozpił się. Nikt nie wie, dlaczego; czy dlatego, że wrócił, czy że tam nie został.

Nic się nie zmieniłem, mówią na ogół sami o sobie.

O 180 stopni, powiadają o nich koledzy.

— To już nie jest ten sam czło- wiek. „Pożycz 200 000 złotych, pro- szę go. A on na to: „Nie mam zło- tych, ja mam konto. Nie chcę go ruszać. Chyba, że mi uwzględni- sz procenty”. Tak gada, jakby był w Ameryce. A kiedyś by powiedział: potrzebujesz, masz.

Wrócił, rozgląda się, co dalej. Podejmują pracę pozorne lub pozo- rowane. — Mam już posadę portie- ra, świetna robota — mówi następ- ny, jeden z najlepszych stamtąd. — Wracam na postój. Trzeba się z ludźmi spotkać, wymienić poglądy, „skóry” obejrzeć..

I tak leci. I tak żyją zawiesz- ni między Łomżą, Zambrowem, Kol- nem a Nowym Jorkiem i Brookly- nem.

*

W zeszłym tygodniu polecał „Zręczny” (dom w budowie, dziec- ko, długi). Ewa: — Powiedział mi na lotnisku: „Jest mi obojętne, czy tam jadę, czy zostanę”. Obojętne, rozumiesz?

Są rok po ślubie. Za dwa dni leci „Nurek”, a po- tem „Duży”.



Jako świadomy obywatel i kochający naszą Ojczyznę patriotę, chciałbym przestrzec wszystkich przed Sarną Edmundem, który od czterech lat uparcie stara się powrócić do zawodu wychowawcy młodzieży i trenera, do czego się nie nadaje. Dziwię się władzom kieleckim, że tolerują jego natarczywość i nęretwo i że do dziś nie zrobiły z nim porządku. Edmunda Sarnę i jego żonę, Mirosławę, znam od wielu lat i obserwuję ich destrukcyjną działalność w mieście, a żeby tego dowiedzieć, przekazać teraz moje spostrzeżenia zebrane od czasu ich przyjazdu do Kielc w 1965 roku.

Przybyli do naszego sławnego grodu — jak to dawniej młodzi ludzie — z walizeczką i tym, co na grzbiecie. Wydawało się: — normalne bidoki po studiach. Z Kielecczyną nie ich nie łączyło. Z początku myślałem: odkują się i wrócą w rodzinne strony, do Łodzi albo na Śląsk, bo on pochodzi z Szopienic. Ale zostali. Przez pierwsze lata niewiele się o nich mówiło, choć on, jak na golca, za bardzo pewny był siebie. Opowiadał, jaki to z niego był prymus, jaki działacz, jak przewodniczył na Akademii Wychowania Fizycznego w Krakowie Radzie Uczelnianej ZSP. Przechwalał się też, że zrobi w Kielcach taki sport, o jakim się nikomu nie śniło.

Ona była więcej cicha, wstrzemięśliwa, zalatana. Pracowała jako nauczycielka wuefu, po południu z dziećmi w sekcji i sama trenowała. Nawet zdobyła w 1969 roku mistrzostwo Europy w skoku w dal. No i co z tego? Mało mamy w kraju złotych medalistów z różnych mistrzostw? Za dużo było gadania, że ją mąż przygotował w marnych warunkach, bez żadnej pomocy i centralnych zgrupowań. Szumu, jaki się wtedy wokół małżeństwa Sarnów narobił, nie raz przyszło nam później żałować. Prasa już nikogo poza nimi nie widziała. Okazało się, że nawet stadion przy nowym budynku Liceum Ekonomicznego, nr 2 Kielce im. Zawadzkiego, Niby redaktorzy pisali, że przy budowie pracowali żołnierze, zakłady pracy, rodzice, nauczyciele i uczniowie ale podkreślano, że pomysł był Sarny i on był motorem wszystkiego. Wymyślił, że będzie 300-metrowa bieżnia, a wewnątrz boiska do gier; on wypożyczył siłownię, zgromadził sprzęt i on ostatni, późnym wieczorem, wychodził ze szkoły. Ta niesprawiedliwość ludzi bolała, chociaż za dumni byli, żeby się przyznać.

Sarna twierdził, że na uwagę ma jedynie dobro młodzieży i sportu, ale naprawdę chodziło mu o jatrzenie i awantury. Już w 1972 roku nasłał do miasta dziennikarza „Przeglądu Sportowego”. Niejaki „POL” napisał, że niby poznał nauczyciela wychowania fizycznego z Kielc przypadkiem, na zawodach szkolnych w Gdyni, ale tak się zawsze pisze. W gazecie przedstawił się Edmund S. jako człowiek przez wszystkich odepchnięty z zazdrości i dlatego, że jest zbyt pracowity, a ponadto nie zapominał nadmienić, iż 70 proc. wszelkich punktów zdobywanych przez sportowców, klubu „Budowlani” wywalczyli jego podopieczni, chociaż oprócz niego w klubie jest jeszcze ośmiu trenerów (30 proc. punktów), co miało oznaczać, że pozostali nic nie robią.

W tej sytuacji nie można mieć za złe trenerom i działaczom „Budowlanych”, że nie mogli Judasza w swoim gronie cierpieć oraz że zrobili wszystko, aby małżeństwo to z klubu się wyniosło.

Faktycznie — trudno stwierdzić, na czym polegały sukcesy wychowanków Sarnów. Ja uważam — jak mówi ludowa mądrość: każdy głupi ma szczęście — że tym trenerom po prostu los sprzyjał. Oboje mieli jakiegoś niucha i nawet pod budką z piwem chłopaka potrafili wypatrzeć roslącego, długonogiego, i gdzie nikt szanujący się nie odważyłby się podejść, tam Sarna nie bał się zagadać: „Czego chłeszesz piwko, lepiej przyjdź na trening. Zamelduj się po południu na boisku”. Nie raczył też nigdy sprawdzić, jakiego to osobnika do szkoły sprowadza. Różnego podejrzanego elementu, ob. S. nazywał sporo (w swojej kieleckiej karierze) z miasta i ze wsi, po których się tłukł stale, zamiaszt — jak przyzwolony człowiek — posiedzieć w domu z rodziną. A potem przechwalał się, że gdyby nie on i jego żona, nikt z tych chłopaków nie by skończył.

Sarnowie opowiadali, że to nie dzięki zdobyciom Polski Ludowej, ale dzięki nim wiejska młodzież się cywilizowała. Oni jakoby uczyli myć się, używać klozetu i prac skarpety. Mirosława S. bez rumienca wstydu wspomina, że wsiowe chłopaki, przyjeżdżając do internatu jeszcze dziesięć lat temu, nie nosili bielizny i nie wiedzieli, co to „ślipy”, więc jak podala komendę: biegać albo skakać, to im przyrodzenie z gimnastycznych majtek wypadało i większość w garście je chwytala, przez co ręce mieli zajęte i nie mogli prawidłowo wykonywać ćwiczeń. A także mówiła, że większość miała tygodniami nie obcinane paznokcie u nóg, bardzo brudne. Więc na pierwszych lekcjach oni najpierw obcinali paznokcie, kupowali bieliznę, uczyli się, żeby nie pluć na podłogę w szatni, nie rzucać ubrań byle gdzie i prać je, co by tak nie śmierdziały. Takie rzeczy opowiada publicznie kobieta wykształcona i dość ładna! Takii sprawami się na lekcjach wuefu zajmowała!

Jak już zaznaczyłem, Sarnowie umieli przyciągać młodzież, nawet taką spod ciemnej gwiazdy, o czym nie byli zresztą informowani przyzwoici rodzice, których dzieci z tą hołotą trenowały. Nie wiadomo, jakim cudem i zrządzeniem opatrności, która czuwała nad młodymi, niewinnymi stworzeniami, na żadnym z prowadzonych przez małżeństwo obozów nie doszło do zgubnych ekscesów. Trenerzy kumpłowali się z młodzieżą, co nie jest wychowawcze, bo łatwo mogli stracić autorytet. A że się bratali, tego dowodzą zdjęcia, które osobiście oglądałem, przedstawiające małżeństwo S. poprzebierane i wymalowane, a wokół młodzież, takie same cudaki. Sarnowie mówili, że urządzali też wieczorki pieśni i poezji oraz inne przyzwoitsze zabawy, ale tego na fotografiach nie widać.

Dziadek ob. S. był górnikiem, ojciec — muzykiem, bo jak sam Sarna przyznaje, przerażał go górniczy trud i mówił, że się w podobny kierat wprząc nie da. Syna, co niby jest muzycznie uzdolniony, także, na muzykanta kierował, ale ten wybrał uczciwy zawód (choć może ze szkoda dlatych, co przez niego cierpieli). Jeszcze w domu rodzinnym nauczył się grać na kilku instrumentach, a to dzisiejszej młodzieży zwiariowanej na punkcie „bigbitu”, na pewno imponowało.

Sarnowie twierdzą, że z przywiązania do wychowanków nie opuścili latami żadnego wyjazdu szkoleniowego, ale mnie się wydaje, że to z pazerności, żeby nie stracić paru groszy (o nie wyplaconą należność za osiem przeprowadzonych obozów okropnie długo gardłowali). Nie mieli w tym za grosz przyzwoitości, bo Mirosławę prowadziła obozy wspólnie z mężem, będąc w zaawansowanej ciąży, a także wówczas, gdy dziecko przyszło na świat i miało zaledwie trzy tygodnie. Tego nie zrobiłaby żadna odpowiedzialna matka i kobieta nie wyzuta ze skromności.

Nauczyciele ci mordowali dzieciaki nie tylko społeczną pracą przy stadionie i urządzeniach lekkoatletycznych, ale także codziennymi treningami. Na wysiłku i krwawicy młodzieży, którą mieli wychowywać, a nie nadzorować, zbudowali sobie pomnik. Nad pochodzeniem wyników sportowych ich zawodników nie miało czasu się zastanawiać i szkoda, bo już wtedy ktoś dostrzegłby może niebezpieczeństwo. Tymczasem w najlepszej wierze, a nawet w uznaniu dla ich zasług, dyrektor liceum wystąpił o przyznanie szkole profilu sportowego, ponieważ taką możliwość dało zarządzenie ministra oświaty i wychowania, Jerzego Kuberskiego, z 25.06.74. Wtedy właśnie zaczęło się istne piekło; nawet nowo powołany



zastępca do spraw sportowych nie mógł sobie z Sarną poradzić. Obywatel ten biegał wymachując zarządzeniem ministra od dyrektora do kuratora, a nawet do wojewody i I sekretarza. Zadał różnych niemożliwych rzeczy: aby nabór do szkoły przeprowadzono zgodnie z punktami 7.3, 11, 12.2 zarządzenia; uchylił się od prowadzenia lekcji wuefu dla młodzieży klasy sportowej, której lekarze zabronili sport uprawiać, twierdząc, że zgodnie z pkt. 7.2 w szkole sportowej powinien być niezależny etat trenera, że on i tak pracuje po godzinach, a także, że nie jego jest winą, iż nieudolna dyrekcja nie potrafi zapewnić dwóch nauczycieli wuefu. Domagał się także, aby uczniowie klas sportowych w świetlicy i w internacie mieli opiekunów (pkt. 3.3, 8.4) pomagających słabszym w nauce, miejsce w internacie (pkt. 9.5), odpowiednią opiekę lekarską (pkt. 9.6) oraz gorącą zupę i możliwość wymycia się po treningu w ciepłej wodzie. Wszystkie te żale, zgodnie ze swym obyczajem, przekazał centralnej prasie („Sportowiec” nr 12/76).

„Chcę tylko poszanowania prawa, chcę, aby przestrzegano zarządzeń najwyższej szkolnej władzy i by młodzież pozostająca paręnaście godzin w szkole i ciężko pracująca na treningach traktowano przyzwoicie” — wykrętnie interpretował obywatel S. swoje poczynania i wierzenie się siłą do gabinetów w urzędzie wojewódzkim oraz komitecie.

Nie liczył się z realiami, niczym nie można go było zadowolić. Kiedy mu tłumaczono, że na taką szkołę, jak w zarządzeniu, województwa nie stać, przewrotnie odpowiadał, że w takim razie nie trzeba jej było powoływać. Przecież jemu szkoła sportowa nie jest potrzebna, bo to, co robi, robił w kołach sportowych, a nie musiał się wówczas użerać i przed młodzieżą świecić oczami, że dyrekcja nie dopełnia obowiązków. A kto się jemu przed uczniami kazał tłumaczyć? — zapytuję.

Jak Sarnowie zrazili do siebie ostatecznie dyrekcję i gromno nauczycielskie, co znalazło odzwierciedlenie w „Arkuszu spostrzeżeń”, prowadzonych przez dyr. Floriana i jego zastępcę, Hahnę, wokół czego to — nie umiające żyć z nikim w zgodzie — małżeństwo wywołało awanturę, wyciągając sprawę na światło dzienne i żądając od przełożonych publicznych wyjaśnień. Mirosława uważała, że skoro raz uznana została za „nauczycielkę prowadzącą w pracy dydaktyczno-wychowawczej”, to tak musi być zawsze. Wykrzykiwała też, że obowiązkowo powinna mieć wpisane do „Arkusza spostrzeżeń” wyniki, które jej uczniowie osiągnęli w zawodach międzyszkolnych i krajowych, że nie zasłużyła na opinię umieszczonej tam, iż nie nadaje się do zawodu, po czym ostentacyjnie rzekła się dodatku dla wybitnych pedagogów. Dyrektorzy nie ulegli jednak jej histerii, tym bardziej że — poza jedną osobą z gromna pedagogicznego — nikt jej nie bronił, co zinterpretowała jako tchórzostwo.

Sarnowie zawsze mieli zły stosunek do kolegów; opowiadali, że nauczyciele są zastraszeni i niedouczeni, a polskie kuratoria oświaty na kilometr cuchną stęchlizną i są reliktem feudalizmu we współczesnej Europie. Edmund S. usiłował nawet propagować swoje podejrzane ideały na krajowej naradzie nauczycieli wychowania fizycznego. Proponował zniesienie ocen z tego przedmiotu, które — według jego sugestii — służy dyskryminacji dzieci mało sprawnych. Zapomniał się tak dalece, że mimowolnie ujawnił, jaki ma stosunek do oceny — podstawowego elementu utrzymującego rygor i dyscyplinę w procesie wychowawczym.

Wracając do Mirosławy Sarny chcę powiedzieć, że jej zachowanie z czasem zmieniło się na niekorzystnie i stała się, podobnie jak mąż, agresywna. Dało się to zauważyć szczególnie po roku 1972, kiedy nie została wybrana do udziału w monachijskiej Olimpiadzie. Jako 30-krotna reprezentantka kraju sądziła pewnie, że jej się ten zaszczyt należy jak psu zupa. Podobnie jak mężowi, także i jej do przekonania nie trafiały racjonalne wyjaśnienia: na przykład to, że nie osiągnęła minimum olimpijskiego w skoku w dal, choć niektórzy pokretnie tłumaczyli, że minimum wyznaczone przez Międzynarodowy Komitet Olimpijski był o 20 cm niższe niż ustanowione przez PKOl oraz że to pierwsze sportsmenka nawet o paręnaście centymetrów przekroczyła.

Na Olimpiadzie w Meksyku Sarna była w skoku w dal piąta, z rezultatem 6,47, i właściwie towarzyszyła tylko Irenie Szewińskiej w tej konkurencji, tak więc złoty medal zdobyty rok później w ME w Atenach skokiem 6,49 był dla wszystkich wielkim zaskoczeniem, tym większym, że była już wówczas posuniętą w latach lekkoatletką. W 1970 na Halowych Mistrzostwach Europy w Wiedniu była dopiero trzecia, a jej rywalki z Aten pokonały ją w ostatniej kolejce skoków osiągając: pierwsza — 6,56, druga — 6,55 (Sarna uzyskała — 6,54). Możliwe, iż postronny obserwator nie dostrzegł w tym spadku formy. Jednak w sezonie olimpijskim, w Memoriale Kusocińskiego, skoczyła zaledwie 6,36, 6,48, 6,29 i 6,30. Na olimpiadę pojechała 5 zawodniczek innych dyscyplin, które też nie uzyskały minimum, ale — jak powiedział w wywiadzie sekretarz PZLA — „Taka np. Nadolna zastąpiła sobie na to wyróżnienie nieśtychą ambicją i pracowitością”. Sarna oburzała się czytając te słowa, bo utrzymywała, że była nie mniej ambitna i pracowita, skoro po poważnej kontuzji uzyskała równą walkę z najlepszymi. A przy tym nie trenowała w lipcu, jak inne olimpijki, w Font-Romeu, do kad jej nie zaproszono, tylko we Włoszowie, gdzie prowadziła oboz sportowy.

Ujęci jej skargami niektórzy dziennikarze zaczęli doszukiwać się przyczyn tej „brudnej” jakoby decyzji, choć szef szkolenia, dr Jackowski, zaraz powiedział, że nigdy się tego zainteresowania nie dowiedzą. Ośmielali się

jedno mam życie





W Łomży kolej mamy połowiczną (na stacji kończy się tor), niemniej tęsknota za wielkim światem każe nam skrupulatnie śledzić, co też dzieje się w PKP. Oto w ramach totalnej walki z brudem w „Rzeczpospolitej” ukazał się wywiad z głównym inspektorem sanitarnym polskich kolei: „Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Zwiększyliśmy liczbę kontroli inspekcji sanitarnej. [...] Wydałem wiele ostrych zaleceń, nakazów, wielokrotnie wyruszam na lotne kontrole, sypią się kary i to wysokie”. Z jakim skutkiem? „Nie zawsze jednak to skutkuje”. Główny inspektor ubolewa, że inspekcja jest bardzo skromna i liczy zaledwie... 570 inspektorów. Wprost trudno sobie wyobrazić, co by było, gdyby ponad pół tysiąca ludzi chwyciło za miotły, a nie za protokoły kontrolne, ale jedno jest pewne: ktoś znowu pomylił wielki puc z wielkim picem.

*

Na początku września Czytelniczka z Łomży zakupiła w sklepie PSS „Spółem” nr 19 pięć jajek. Już w domu okazało się, iż wszystkie są... świeże i nie nadają się do spożycia. Nazajutrz ponownie zakupiła więc pięć jajek, ale nauczona przykrym doświadczeniem, poprosiła o ich prześwietlenie. Ekspedientka po konsultacji z kierownikiem, o-rzekła jednak, iż sklep prześwietlarki nie posiada. Na i nikt nie powie: kurcze pieczone!

*

Prywatny wytwórca słodczy z Klukowa wypuścił na rynek waflę w polowie. Po rozpakowaniu i próbie degustacji okazuje się, iż polewą pociągnięte są wyłącznie krawędzie wafla. Nazwa wyrobu: „symboliczna bombonierka rzeczywistości”

*

Gospodarz domu (dawniej — dozorca) przy ul. Prusa w Łomży wpadł na oryginalny pomysł ułatwienia sobie pracy: trawnik wzdłuż krawężników, który dotąd musiał co jakiś czas przycinać, posypuje chlorem. Pełz to się ludzie nie namęczą, aby tylko nie pracować!

*

We wrześniu, miesiącu dla nas tak znaczącym, jakiś bezmyślny (mamy nadzieję) profan w pobliżu czołgu-pomnika w Nowogrodzie uczynił sobie składowisko śmieci „Narody, które tracą pamięć — tracą życie.”

*

W wyniku interwencji redakcji „Prawa i Życia” Urząd Gminy w Nowych Piekutach umorzył rolnikowi-inwalidzie część podatku i jednocześnie obiecał udzielić mu pomocy, gdyby dalej prowadził gospodarstwo rolne. Działo się to w 1986 r. W tym roku rolnik (którego sytuacja się nie zmieniła), zachęcony urzędową deklaracją, ponownie poprosił o umorzenie podatku. Uczynił to już bez pośrednictwa redakcji. Efekt? Decyzja odmowna z uzasadnieniem, iż brak jest podstaw. Faktycznie, tyle że Urzędowi brakuje raczej podstawy niż podstawy.

*

Nagrodę 500 złotych za najlepszy sygnał tygodnia „To się nadaje do „Spieć” otrzymuje autor informacji o śmietniku w Nowogrodzie.



wać godzinami przed bramą oraz wysłuchiwać mało patriotycznych pieśni śpiewanych przez odosobnionych. A także, choć jego córka przez wiele miesięcy budziła się w nocy z krzykiem, bo miała straszne sny, ośmielał się przemycać ją do celi. Na pytanie: w jakiej atmosferze chowa swoje dzieci, odpowiada niezmiennie, że w prawdziwej, a taka jest zawsze lepsza od fałszu. Nie był on też kochającym ojcem rodziny, bo mógł wyjść znacznie wcześniej, gdyby podpisał, co trzeba, ale odmawiał twierdząc, że nigdy na szkodę państwa nie działał, był lojalnym obywatelem i od władzy może przyjąć jedynie przeproszenie.

Kiedy męża internowano, żona doprowadziła w Kielcach do innego skandalu. Z braku funduszy i wyników rozwiązania „Lysogóry”, lecz dwa miesiące później, przez jakieś niedopatrzenie, przyznano sekcji dotację, a nawet wyróżnienie za wybitne osiągnięcia w sporcie na Kielecczyźnie. Mirosława S. na pięknej uroczystości, na którą ją pomimo kompromitacji męża zaproszono, odbierając dyplom — zamiast podziękować władzom — przestrzegała młodzież przed angażowaniem się w działalność społeczną, podając przykład rozwiązania „Lysogór” w kłamliwym świetle.

Nie ich nie nauczyło życie ani te ciężkie chwile, bo po powrocie z internowania S. zgłosił się do pracy w szkole i tak robi co roku w okresie „ruchu służbowego”. Szczęście wobec podobnych wywrotowców nie stosuje się żadnych zasad porozumienia i Kuratorium Oświaty słusznie pyta wówczas: „Skąd przychodzicie?”, choć po prawdzie Sarny pytać nie trzeba, bo o nim i tak wszystko od lat wiadomo.

Zawody, które wykonywał ostatnio, były szczególne. Sprzątał na cmentarzu, rzeźbił, starał się o uprawienia rzemieślnicze, ale władza — wychodząc ze szluzowego założenia, że nie jest on godny zaufania — nie pozwoliła mu na utworzenie paruosobowego warsztatu. Sarna był też kierowcą biskupa, którą to posadę kościół sam mu podobno zaproponował. Myślę, że z tej instytucji rodzina S. otrzymywała również pomoc, tym bardziej że w 1984 roku urodziła się im druga córka, przemawia za tym również fakt, że trzy lata temu małżeństwo, które nigdy nie było religijne, wzięło ślub kościelny, a Edmund S. utworzył nawet przy kościele chór. Niedawno cała rodzina dwa miesiące przebywała w Szwecji, gdzie jakoby proponowano im pracę trenerów Sarna twierdzi, jak zwykle patetycznie, że nie go ze Szwecji nie łączy, że korzenie ma w Polsce, czy chce, czy nie chce, na dobre i na złe, oraz że nie mógłby spokojnie patrzeć na świństwa, które ekstremitaci „Solidarności”, zdrajcy ojczyzny, publikują w tamtejszej prasie o okrucieństwach SB, której funkcjonariusze gwałcili żony i rozjeżdżali samochodami dzieci działaczy związku „Solidarność”. Ale ja myślę, że to nieprawda. Że się w Szwecji na Sarnach szybciej poznano niż w Kielcach, bo inaczej z tych wakacji by nie wrócili, bo niby do czego. Do dwóch pokoi (43 metry kwadratowe), gdzie często pod koniec tygodnia brakuje wody, bo wysycha ujęcie, albo do starego fiata 125?

Ponieważ kilka dni temu obywatel Edmund Sarna znów nachodził władze o pracę pod pretekstem, że w Kielcach brakuje 600 nauczycieli wychowania fizycznego oraz że chce utworzyć sekcję sportową, postanowiłem położyć kres jego działalności i uwolnić miasto od natręta. A jeszcze dodam, że były trener spędza teraz dużo czasu przed telewizorem i ze szczególną przyjemnością ogląda programy o społecznej niesprawiedliwości i pomyłkach oraz głupocie władz. To jest woda na jego młyn. Wtedy Sarna powtarza, że przeciw temu trzeba protestować, walczyć, bo inaczej gównem nas zalaje, że nie ma żadnej odnowy i że nie wolno pozwolić na obojętność, bo obojętność to śmierć.

Życzliwy

PS. Audacter calumniare, semper aliquid haeret. („Szkaluj śmiało, zawsze coś przyłgnie”).

F. t. JANUSZ SZEWIŃSKI

Trener robił burdy o to, że mikrobis, który miał zawieźć sekcję na Mistrzostwa Polski do Poznania, nadawał się tylko do przewożenia mebli, albo o to, że na zimowy obóz szkoleniowy załatwiono domki campingowe, ale nie zatrudniono lekarza, w związku z czym wyjazd odwołał, narażając klub na poważne straty. Czepiał się też, że jego prezes pełni prezesurę w innym jeszcze klubie. Doprowadziło to do tego, że zarząd nie miał ochoty się zbierać i z tego powodu oraz z braku funduszy i wyników sportowych „Novi” zostali rozwiązani. Uzasadnienie władz o braku rezultatów sportowych było może nieco naciągane, ale należy zrozumieć biednych, szkalowanych ludzi, których niezłomność sprawdziła się w latach osiemdziesiątych, albowiem wszyscy (nie wyłączając dyrektora Liceum Ekonomicznego) wysoko awansowali.

Sekcję lekkoatletyczną z SZS „Novi” przekazano klubowi „Start-Lechia”. Pół roku pracowali tam także za darmo Sarnowie, czekając, aż Zarząd przyjmie ich wstępne warunki, w których — jak twierdzili — były wyłącznie postulaty zgodne z „Kartą praw i obowiązków sportowca”. Po raz kolejny udawali, że nie zdają sobie sprawy z fantastyczności tych propozycji, a kiedy zarząd ostatecznie je odrzucił, odeszli nie podpisując umowy; z podobnych przyczyn E.S. nie przedłużył również umowy w szkole. Nie wiadomo, za czym poduszczaniem, a może nawet przymusem, 54 zawodników trenowanych przez S. napisało list protestacyjny i rozesłało go do różnych gazet. Prasowi macieście podnieśli taki gwałt, że dyrektor Wydziału Kultury Fizycznej, Sportu i Turystyki UW dla ratowania opinii miasta specjalnie dla Sarnów utworzył sekcję lekkoatletyczną „Lysogóry”.

Żyjąc tej ostatniej był na szczęście krótki, albowiem Edmund S., co było do przewidzenia, związał się z „Solidarnością”, a nawet zakładał ją wśród nauczycieli. We władzach regionu nie był (poza komisją tymczasową). Obywatel ten szczyci się, że „siedział”, ale zachowywał się godnie. Tę godność rozumie tak, że funkcjonariusze bali się go, żeby im nie dołożył, a w więzieniach, w których przebywał on i jemu podobni, czasem co tydzień wymieniano podobno strażników, żeby nie skumali się z internowanymi, oraz że strzegący ich mieli dla przetrzymywanych coś w rodzaju respektu. Podczas internowania Sarna spędzał czas na czytaniu, słuchał wykładów, muzykował i brał udział w akademiach i apelach, które przetrzymywani organizowali z okazji rocznic, o jakich wolałbym tu nie pisać.

Całe to szwaze morale Sarny objawiło się też w fakcie, że pozwał żonę i dziecku przyjeżdżać co tydzień pod więzienie i wysta-

insynuować, że któryś z działaczy potrzebował miejsca dla kolesia, albo że trenerem solą w oku był gimnastyk (specjalność E.S.), co na pseudostadionie wychował mistrzynię, dowodząc, że jeśli jest praca i rzetelność, to nie trzeba wielkiej forsy. Sarna wykorzystał tę sprawę w sobie właściwy sposób i starał się (podobno widząc załamanie żony), by pojechała do Monachium na własny koszt, o co prosił w MKOl., uzasadniając niezgłoszenie M.S. niekompetencją polskich działaczy. Tak usiłował śmieszyć ludzi, o których uczciwości nie można wątpić, a którym polska lekkoatletyka zawdzięcza rozkwit, nie zaś — jak chce Sarna — upadek. Pranie brudów zawsze było tym osobnikiem na rękę i sprawiło im przyjemność. Niektóre sprawy z ich winy ujawniono. Mirosława nie zawahała się przekazać redaktorowi „Głosu Pracy” informacji, że jej wyjazd na Igrzyska w Meksyku opłacił działacz polonijny, Harry Kujtkowski, o czym dowiedziała się przypadkiem, ponieważ kazano jej podpisać kartkę z podziękowaniem, którą dołączono do czapki krakowskiej i wręczono Kujtkowskiemu, a nie sportsmen'ce nie pozwolono się z nim spotkać. „Były to częste praktyki i — jak w prywatnej rozmowie twierdziła S. — nigdy się nie dowiem, ile pieniędzy z dobrowolnych datków powędrowało do kieszeni działaczy.”

Rozgłaszała też, jakie ekscesy uchodziły Władysławowi Komarowi, dlatego że był zięciem Mariana Spychalskiego. Nawet jeśli podobne historie miały miejsce, to chyba nikt nie ma prawa ich wywlekać, żeby młodzież o nich czytała i zohydzała sobie piękne ideały.

Ale moralność owych wychowawców jest szczególna. Usta mają pełne frazesów o walce o sprawiedliwość, a przede wszystkim szkodzą wokół, szczególnie władzy, której patologicznie nie znoszą.

Po odejściu z klubu „Budowlani” założyli sekcję SZS-AZS „Novi”. Trenerzy uważają, że to oni wprowadzili zawodników „Budowlanych” do I ligi, co pozornie potwierdza fakt, że po ich odejściu klub spadł do ligi II. Windowali też nową sekcję, zdobywając miejsce w II, a w 1977 bliscy byli miejsca w I lidze. Ich zawodnicy wywalczyli wiele medali (podobno połowę wszystkich zdobytych przez kieleckich sportowców w tamtych latach); Edmund został nawet najlepszym szkoleniowcem roku w kraju, zaś Liceum Ekonomiczne jako jedna z dwóch szkół w Polsce, zdobyło wyróżnienie za wybitne osiągnięcia sportowe. Owo uznanie Sarnowie zawdzięczają podobno odkrytym przez nich zawodnikom: B. Kwietniewskiej, E. Kapusto, M. Tekiel, E. Kusiak czy W. Podsiadło, i dawało im szanse na większe panoszenia się. Gehenna, jaką przeżywali przez nich działacze, jest nie do opisania.



Ostatnie to już chyba lata, kiedy jeszcze można odwołać się do pamięci świadków wydarzeń polskiej wojny obronnej 1939 r. A trzeba tak czynić, bo ciągle jeszcze pozostaje tajemnicą wiele epizodów z tamtych dni, nie utrwalił się podstaw godnych tego, nie oznaczyliśmy wszystkich miejsc walki i grobów żołnierskich. Służę przykładem Szumowa, miejscowości znanej, położonej blisko międzynarodowej szosy. Szukałem tam śladów walk wrześniowych, niemal nadaremnie. A były to walki zacięte i krawawe, o czym świadczą zapisy pamiętnikarskie. Kto pomoże w tej sprawie?

zapis pierwszy

Relacjonuje podporucznik rezerwy 9 pułku strzelców konnych z Grajewa, Czesław Hakke. W końcu sierpnia 1939 r. otrzymał on funkcję oficera żywnościowego, znalazł się w dywizjonie majora Bohdana Dobrzyńskiego, kawalera Krzyża Virtuti Militari i Krzyża Walecznych. Dywizjon ten był jednostką gospodarczą, składał się głównie z wozów pułkowych i doraźnie rekwizowanych furmanek wiejskich, ciągnął za jednostkami pierwszej linii.

9 września 1939 r. po nocnym marszu zatrzymaliśmy się we wsi Szumowo, pow. Zambrów. Major Dobrzyński zarządził odprawę w domu naprzeciwko kościoła. Po rozłożeniu mapy na stole, planował dalszą marszrutę.

Nagle rozległy się trzy potężne eksplozje i szyby poleciały w oknach. Prysnęliśmy wszyscy z chaty i rozproszyliśmy się. Nad nami syczał było warkot samolotów i rozległy się dalsze eksplozje, jak również grzechot karabinów maszynowych, niestety, nie naszych. To ci z góry, na samolotach z czarnymi krzyżami. W kilka sekund później, przykucnięty pod jakimś drzewem, widzę, że płonie słomą kryta strzecha stodoły, obok której stoją nasze wozy z amunicją. Szczególnie ten najbliższy jest zagrożony. Dopadłem do jeszcze nie wyprężonych koni i próbuję ruszyć z miejsca. Na próżno. Zwierzęta stoją porażone niesamowitym widokiem. Zar bije od ognia, parzy. Cofam się, wołam strzelców. Nikt się nie pojawia, bo warkot samolotów narasta, rwą się bomby zapalające, syczą serie karabinów maszynowych z góry... Naraz widzę w krzewach jakieś zielone mundury. Wołam. Nikt nie reaguje. W rozpacz wyrywam z kabury visa i pod groźbą zastrzelenia wydaję rozkaz. Poskutkowało. W takiej sytuacji odmowa wykonania rozkazu to haniebna śmierć. Wstają, jakby zażenowani chwilą słabości, pędzą na ratunek... Bądźmy sprawiedliwi. To był porażający waleczny szok. Ktoś musiał go przełamać. W kilka sekund potem zagrożony wóz został rozładowany. Był już najwyższy czas. Skrzynki z amunicją groziły wybuchem. A konie... Kazałem je dostrzelić. Ze skwierczającej od żaru skóry spływała posoka, a one bezgłośnie cierpiały. Okropny, wstrząsający serce ułański widok. Po kolejnym wybuchu bomb przybiega do mnie strzelec z zakrytą rękami twarzą i krzyczy: «Oczy, panie poruczniku, oczy!!!»

Tuż przy nim, gdy leżał na ziemi, rozlewała się bomba zapalająca i podmuch jej zasypał żołnierza twarzą. Patrzę, że okaleczeń brak, tylko piasek i jakiś szary proszek oblepia skórę głowy oraz twarz. «Widzisz?» «Widzę», odpowiada i mina mu się rozjaśnia. «Miałeś szczęście — mówię — a teraz wal do roboty».

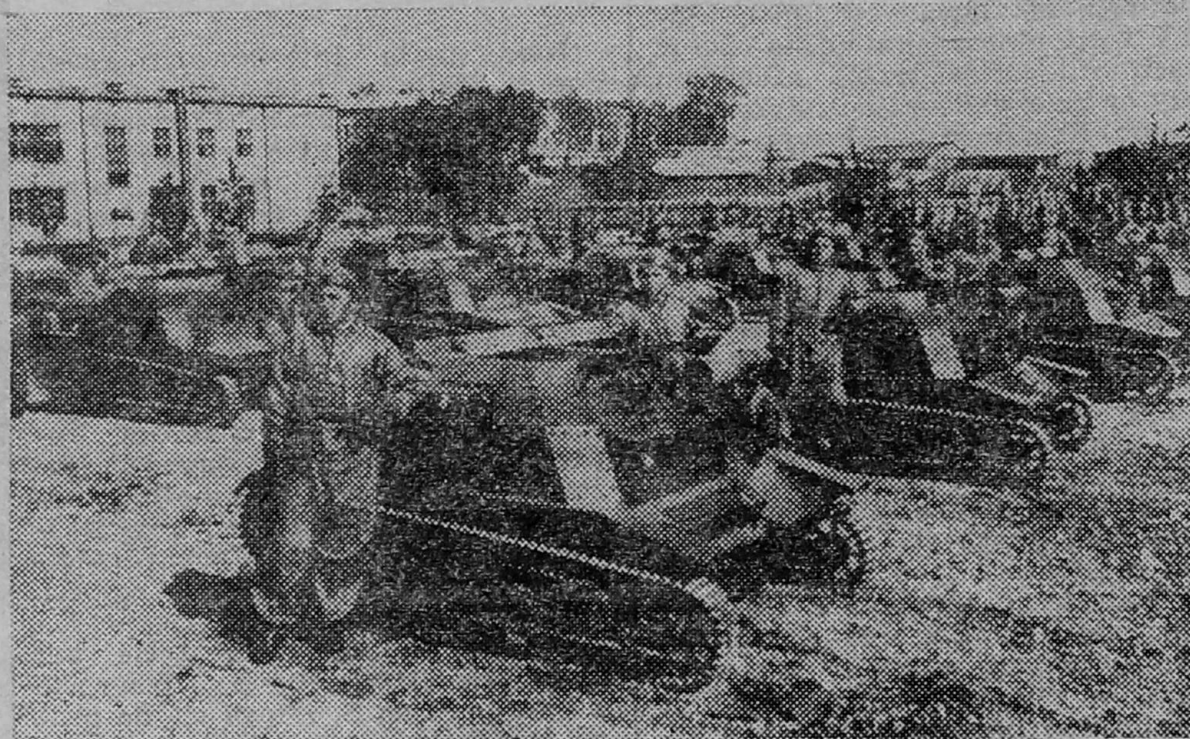
Po opuszczeniu płonącego Szumowa pospiesznym marszem osiągnęliśmy położony przy szosie rejon lasów. Przejeżdżając koło wsi Dmochy. Tu mieliśmy nocować. Major udał się do dowództwa pułku, które kwaterowało w Zarebach Kościelnych.

W rozmowach przeprowadzonych

w Szumowie potwierdziłem datę, fakt bombardowania i udało się nawet dokładnie określić miejsce wybuchu owych trzech bomb lotniczych. Z przytoczonej relacji wynika, że dowództwo dywizjonu zatrzymało się na plebanii.

zapis drugi

Porucznika Czesława Liszewskiego z 3 pułku szwoleżerów (Suwałki) nie ma już wśród nas. Został natomiast pamiętnik, pisany od końca sierpnia 1939 r. do wiosny 1945 r., to jest do momentu powrotu jeńca z niewoli. Pamiętnik autor opatrzył tytułem: „W marszu i w walce”.



Fot. 1: 7 baon pancerny (Grodno).

EPIZODY



Fot. 2: Święto w 3 Pułku Szwoleżerów Mazowieckich (Suwałki). 1939 r.

SZUMOWSKIE



Fot. 3: Pluton szkolny 9 pułku strzelców konnych (Grajewo). 1939 r.

„9 września [...] Z Zambrowa maszerujemy aż do Szumowa, dużej wsi kościelnej. Mapy nie mam, nie wiem również, gdzie to Szumowo może leżeć. Pytałem się o to każdego spotkanego przechodnia, wszyscy mówią, że niedaleko, i tak już od dłuższego czasu. Dalej! byleby prędzej, byleby naprzód! Nareszcie widać tunę, całe niebo rozświetlone. Tam Szumowo. Jeszcze dwa kilometry marszu pieszego, bo rowery prowadzić musimy w ręku, taki trakt piaszczysty, i wjechaliśmy w pierwsze opłotki ongiś pięknej wioszczyny. Gdy patrzę na tę wieś, coś ścisnę za gardło i dławię krtań, tak straszny widok. Nie jest to właściwie wieś, bo z jej potowu zostały tylko ruiny i kupy gruzów. Wiele budynków

pionie i wali się z trzaskiem i sykem ognia. Iskry wysoko strzelają w górę, a dym ławie powieki. Daleko na horyzoncie, wśród lasów, również tony pożarów i tam osiedla w ogniu.

Maszerujemy przez wioskę. Wszędzie to samo. Widać ścierwa spalonych koni i krów. Psy nie szczekają, a wyją przeraźliwie. Po zgłiszczach swych zagród lażą cienie ludzi i wyciągają z ognia co się da. Wyglądają jak upiory, albo żywa ludzka rozpacz. Nic dziwnego, że gdy patrzymy na to, serce przepętnia nienawiść, zaciętość i chęć zemsty. Kościół ocalał, stoi biały wśród zieleni, nietknięty i swą jedyną wieżę strzela ku niebu.

trup, zmarły normalnie. Obok zgasła świeca. Wrażenie przykre, a może nawet niesamowite. Pożary, grzmot dział w pobliżu i ten, tak spokojnie leżący trup. Co innego poległy w polu. Nie robi tak przykrego wrażenia. Wojna wreszcie, ludzie padają masą. Ale ten! Wyładaliśmy z chaty szukać innego noclegu.

Witek Kraśnicki położył się pod płot, za nic nie chce już takiego drugiego widoku. Znaleźliśmy nocleg w pustej organistowce czy wikariacie. Pustka straszliwa, zimno przejmujące, szyby potłuczone, swobodnie hula wiatr, obrazy pospadały ze ścian i walają się po kątach. Na środku pokoju fortepian, dziwnie i głupio wygląda ten sprzęt wśród tej pustki i zniszczenia. Złote ze starości klawisze szczerzą się jak zęby w czaszce kościotrupa. Mebli nie widać, na kilku potamanych krzesłach leżą zardzewiałe niemieckie ładunki karabinowe, chyba jeszcze z ubiegłej wojny.

Dlaczego to zniszczenie, skąd te ładunki? Odpowiedzi nie znajdujemy.

Głodni i zmęczeni zasnęliśmy wreszcie, by o świcie znowu w drogę — może w bój!”

Szwadron z por. Czesławem Liszewskim przybył do Szumowa już po odejściu dywizjonu, w którym znajdował się ppor. Czesław Hakke. Czy obaj porucznicy zatrzymali się w tym samym domu?

zapis trzeci

Będzie to fragment listu przesłanego mi przez anonimowego nadawcę, żołnierza 7 baonu pancernego z Grodna.

„Dnia 4 lub 5 września dotarliśmy w okolice Szumowa koło Łomży. Dowódca 31 dywizjonu, kapitan Biedziński, dostał rozkaz, aby stawić czoła nacierającemu wrogowi. Nasz dywizjon stoczył bój z przeważającym wrogiem, zwycięsko zdobywając jeńców i sprzęt. Byliśmy zadolnieni, owiniani zwycięstwem. Wracając na pozycje wyjściowe nocą, nie spodziewaliśmy się, że jednak mamy straty.

Oto przydarzył się przykry wypadek. Samochód osobowy Opel, należący do dowódcy, miał w bezpiecznej odległości jechać za nami. Kierowca zmylił kierunek i wpadł w zasadzkę czołgów niemieckich, został ostrzelany. Znajdujący się w samochodzie żołnierze ubiegli do stodoły, a gdy stodoła zaczęła się palić, uciekli i położyli się w kartofle. Niemcy ich tam znaleźli, kazali ustawić się w szeregu i jeden czołgista pociągnął serię. Zginęli: strzelec pancerny Stanisław Zukiewicz, kapral Nowak, podchorąży z Kielecczyny, a starszy strzelec pancerny Józef Krzesicki z Suwałk został ciężko ranny, dostał się do niewoli, powrócił z wojny. Ciało Nowaka i Zukiewicza spoczywało na cmentarzu w Szumowie. Niechby to był apel do harcerzy o roztoczenie opieki nad tymi grobami.”

Ta relacja wymaga uściślenia. Wydaje się, że opisywane zdarzenia musiały zajść w kilka dni później, po przerwaniu linii Narwi. Gdy pytałem o czołgi polskie i niemieckie, to nikt z odpowiadających mieszkańców Szumowa nie potwierdził tu ich obecności we wrześniu 1939 r. Nie ma też na cmentarzu grobów imiennych pancerniaków z 7 baonu, ale jest mogiła zbiorowa nieznanego żołnierza. Czy leżą w niej także Nowak i Zukiewicz?

Kto pochował żołnierzy polskich na cmentarzu w Szumowie? Kto wniesie sprostowanie lub uzupełnienie do przedstawionych trzech relacji uczestników walk w rejonie Szumowa? Spróbujmy wspólnie odtworzyć wspomniane wydarzenia 9 września. Myślę, że trzeba też zastanowić się nad upamiętnieniem ofiar bombardowań i walk — ludności cywilnej i żołnierzy. Za dwa lata będziemy już bowiem mieli pięćdziesiątą rocznicę wybuchu II wojny światowej.

ADAM DOBRŃSKI

Reprod. Gabor Lőrinczy (3)
i Mariusz Olkowski (1, 2).

Znam, że słyszenia i obrazy jedynie, dwie odmiany tej dolegliwości w wersji angielskiej — uszytwnienie kręgosłupa dające w rezultacie sylwetkę charakterystycznie marionetkową, nieco pochyloną, z ograniczeniem ruchliwości do minimum, oraz psychiczne znudzenie, łatwość nasycań się światem, polegające na jednorazowości używania czegośkolwiek i wszystkiego. Niekiedy obie te przypadłości dotykają jednej osoby i wówczas mamy do czynienia z klasyczną, pełnowymiarową lordozą. Spotkanie nosiciela takowej nas, ludzi nie tylko z innych kręgów klasowych, majątkowych, ale także geograficznych i kulturowych, powinno jedynie szokować. Człowiek, który opowiada, w tonie całkowitej oczywistości, że tylko raz korzysta z zastawy stołowej, raz z konia, raz z kosi, nie może, oczywiście mieć wielu dzieci, co najwyżej jednynaka lub jedynaczkę (z jedną żoną, którą widział raz w życiu), musi za to, z powodu takiego trybu życia, mieć sztywne kręgi

nie zaś raz po raz. I to ostatnie wydaje mi się najbardziej charakterystyczne dla postawy, która gwarantuje utrwalenie. I to już całkiem niezależnie od tego, czy przyjmuje ją konserwatysta, czy nonkonformista. Istotne są warunki, w jakich odbywa się próbowanie tej zasady, a także sposób jej spełniania, bo to w rezultacie określa, czy spełni ona swą rolę, a więc pomoże utrwalić, zachować cały układ (państwo, ustrój, władzę itd.), albo jego część przynajmniej, a w końcu choćby grupy jednostek.

Nie chciałbym jednak rozwijać tego wątku w kierunku zbyt serio, poprzestajmy więc na tym, co powiedziałem i, jak mówią Francuzi, wracajmy do naszych baranów. Spotkałem wczoraj Grędałskiego. Powiedział mi, w największej dyskrekcji, że Piaściński leży chory. To znaczy nie leży, tylko jest chory i powinien leżeć, ale nie może, bo podobno jednak ma być u nas likwidacja etatów w urzędach, lecz nie tak — jak to dotąd było — na niby, ale „całkiem po innemu”. Teraz urzędnicy sami mają sobie przegotować

za pół procenta od kwoty całej transakcji. I zobowiązują się załatwić to w ciągu jednej godziny, czyli w czasie, w którym chłop zje coś w gospodzie, a baba polata po sklepach. I Piaściński właśnie na to wziął pięć dni chorobowego, z zaleceniem leżenia, i nie może nawet usiedzieć, bo obmyśla system PUG (punkt usług gończych) na całe województwo. Obiecałem Grędałskiemu, że nikomu o tym nie powiem, piszę o tym jednak, bo wydaje mi się, że to nie uzdrowi ani urzędów gmin, ani gminnych spółdzielni z paraliżu biurokratycznego. Nie jest bowiem sensowne, panie Grędałski, masowanie palca, kiedy ręką ruszyć nie można, chyba że ze współczucia.

Innym rodzajem „lordozy” jest wielkomięskość Łomży. Nikt chyba nie potrafi w tym mieście powiedzieć, co jest niezbędne do funkcjonowania miasta, kiedy będzie ono miało 100 tysięcy mieszkańców. Tak jak nikt przed 12 laty, kiedy liczyło sobie 30 tysięcy, nie potrafił wskazać kompleksu niezbędnych miejskości dla Łomży obecnej. Urbanistyka to nie tylko zadanie

POTW ARZ

(8)

BARBARA MAKOWSKA-WITKOWSKA

My nie powoływaliśmy w czasie procesu żadnych świadków, albowiem nie istniała tego potrzeba.

Po przeczytaniu prawie wszystkich dokumentów powróciłam do celi. Miałam wreszcie dostęp do całego materiału i możliwości przemyślenia sprawy.

Początkowo byłam szalenie zdumiona, jak można było mnie aresztować i osadzić w więzieniu na podstawie takich poszlak, a tym bardziej nadać sprawie publiczny wydźwięk przez artykuły w prasie i komentarze w telewizji, które bezapelacyjnie skazywały mnie jeszcze przed rozpoczęciem śledztwa. Przecież bzdury, które plótł pijany, były już przed aresztowaniem do wyjaśnienia. Jak poprzednio wspomniałam, w Pogotowiu istnieje bardzo skrupulatna dokumentacja. Bardzo łatwo było sprawdzić, iż nie zatrzymaliśmy się na skutek machania pacjenta, lecz był to wyjazd do wypadku i właśnie do niego; następnie wielu świadków można było powołać na okoliczność, że sanitariusze i kierowcy z karettek reanimacyjnych nigdy nie chodzą w białych fartuchach, lecz w jaskrawozielonych kombinezonach.

Czas zajścia również się nie zgadzał. Nasze godziny były odnotowane w dokumentacji Pogotowia i — od chwili zdawania pacjenta — w Izbie Przyjęć Szpitala. Czas podawany przez pacjenta to dwie godziny później (godz. 16.00), przy którym upierał się i w czasie rozprawy (kolidowało to nawet z czasem przybycia radiowozu).

Czy ktoś wreszcie wyobraża sobie pobicie człowieka przez ludzi w białych fartuchach, w czasie godzin największego ruchu, w centrum miasta, bez interwencji przechodniów?

Sama karetka istniała jako dowód trwały, w każdej chwili dostępny do sprawdzenia. Karetki reanimacyjne wewnątrz tworzą całość, nie istnieje żadna działowa ścianka z okienkiem. Ja zaś, siedząc na swoim miejscu, nie jestem w stanie dosięgnąć leżącego na noszach człowieka. Wreszcie sprawa leków też jest łatwa do sprawdzenia. Karetki reanimacyjne nie mają i nigdy nie miały żadnych leków w tabletkach (uspokajających) ani też żadnych środków wziewnych usypiających.

Wiele z tych punktów potwierdziły już zeznania świadków, a więc zaareztowanie mnie i wydanie sankcji oparte było na absurdalnej opowieści pijaka (tylko i wyłącznie).

Po przemyśleniu tego wszystkiego sprawa zaczęła mi się bardzo nie podobać. Pierwszy raz zaczęła mi kielkować w głowie myśl, iż tak prędko się to nie skończy.

Nastąpił dla mnie okres bardziej urozmaicony — częstych odwiedzin adwokata. Wreszcie uzyskałam widzenie z mężem, synem, rodziną. Niewiele wprowadziło mogłoby się sobą nacieszyć, gdyż widzieliśmy się przez grubą, dźwiękoszczelną szybę, a rozmawialiśmy przez słuchawki, no i widzenie trwało zaledwie 30 minut. Cóż sobie można powiedzieć? No, ale był to już kontakt ze światem.

Czas wypełniało mi oczekiwanie na termin rozprawy i przygotowanie do niej. Wreszcie dostałam powiadomienie o jej terminie. Wyznaczona została na 22 lutego.

Ta wiadomość wywołała u mnie uczucia mieszane; z jednej strony — ogromna radość, że wreszcie się wszystko wyjaśni i mogę już liczyć dni do opuszczenia aresztu, z drugiej zaś — zdawałam sobie sprawę, iż nadany rozgłos ściąganie na sprawę wielu ludzi mi nie znanych i wystąpienie przed tą rzeszą z piętnem złodzieja i rabusia (choćby przez chwilę, do wyjaśnienia) było dla mnie nie do zniesienia. Lecz nie istniało inne wyjście, trzeba było przejść tę Gogolę przed uwolnieniem. Tym bardziej iż adwokat poinformował mnie, że na salę konwój może poprowadzić mnie w kajdankach i nie jest to sprzeczne z artykułem mi zarzucanym. Potwierdził też, iż sala, w której ma rozpocząć się rozprawa, jest największą salą Sądu.

Przewieziono nas do aresztu Sądu; w czasie transportu po raz pierwszy mogłam rozmawiać ze swoim kierowcą i sanitariuszem. Wyglądali bardzo źle. Schudli po kilkanaście kilogramów, byli zrozpaczeni, przynębieni. Sanitariuszowi w trakcie pobytu w areszcie urodził się syn.

W areszcie Sądu rozdzielono nas; ja poszłam oczekiwać na rozprawę do celi kobiecej. Tu po raz pierwszy spotkałam się z prawdziwymi kryminalistkami, dowożonymi na rozprawę z różnych więzień. Różne też były i między nimi osoby. Ku mojemu przerażeniu — przeważały zabójczynie; straszne było to, iż były one bardzo młode i — na ogół — bez wyrzutów sumienia z racji popełnionego czynu. Wielokrotnie przed rozprawami dane mi było się z nimi spotykać

LORDOZA

krzyżowe, lędźwiowe i szyjne, a także, jako duchowy czy intelektualny fundament tego wszystkiego, sztywne poglądy. Jedynym słowem: lordoza to ucieśnienie konserwatyzmu.

Pomijając nawet kwestię, że musi być ktoś, kto zapewni lordom materialne warunki zapadania na ich firmową chorobę, dziwić musi, iż do tej pory lordowie jako tacy nie wyginęli. Warto więc zastanowić się choćby przez chwilę nad dialektyką konserwatyzmu, jeśli jego przemiany można określać wciąż tym terminem. Pierwszą ich cechą jest nieznacność, przynajmniej zewnętrzna. A więc żadnych rewolucji. To oczywiście, ale z drugiej strony meustanne szukanie nowości, odświeżenia, poprawy gatunku, usprawnienia. I tak nie tylko golf czy spacerowa jazda konną to wynalazek lordów, ale także dieta w odżywianiu, klasowe a nawet rasowe mezalianse, czyli intuicja, tradycja, inżynieria genetyczna, przede wszystkim zaś to, na co nie zwracamy zwykle uwagi, mianowicie egalitaryzm, między nami lordami rzecz jasna, lecz nie tylko praw — także obowiązków i powinności.

„Pierestrojkę” konserwatyści współcześni wmontowali już dawno w swój system polityczny, a nawet towarzyski. Rezultatem tego jest przełamanie powojennej zasady rządów w Zjednoczonym Królestwie, polegającej na tym, że po okresie rządów Partii Pracy, które zasnaczyły się upaństwowieniem podstawowych gałęzi gospodarki, wzmocnieniem zabezpieczenia socjalnego ludzi pracy, dotowaniem licznych dziedzin usług, kiedy lordom zaczęło być coraz mniej wygodnie (i musieć, na przykład, dwukrotnie występować w tym samym krawacie), czyli, gdy państwu groziła jakaś tam rewolucja (choćby zza siódmej góry), wówczas następowała zmiana i władzę przejmowali konserwatyści, aby „odkryć” większość z tego, co narobili poprzednicy. Od blisko dziesięciolecia rządzą torysi i nie widać zupełnie szansy, nawet zza siódmej góry, aby labourzyści zmienili ich u steru.

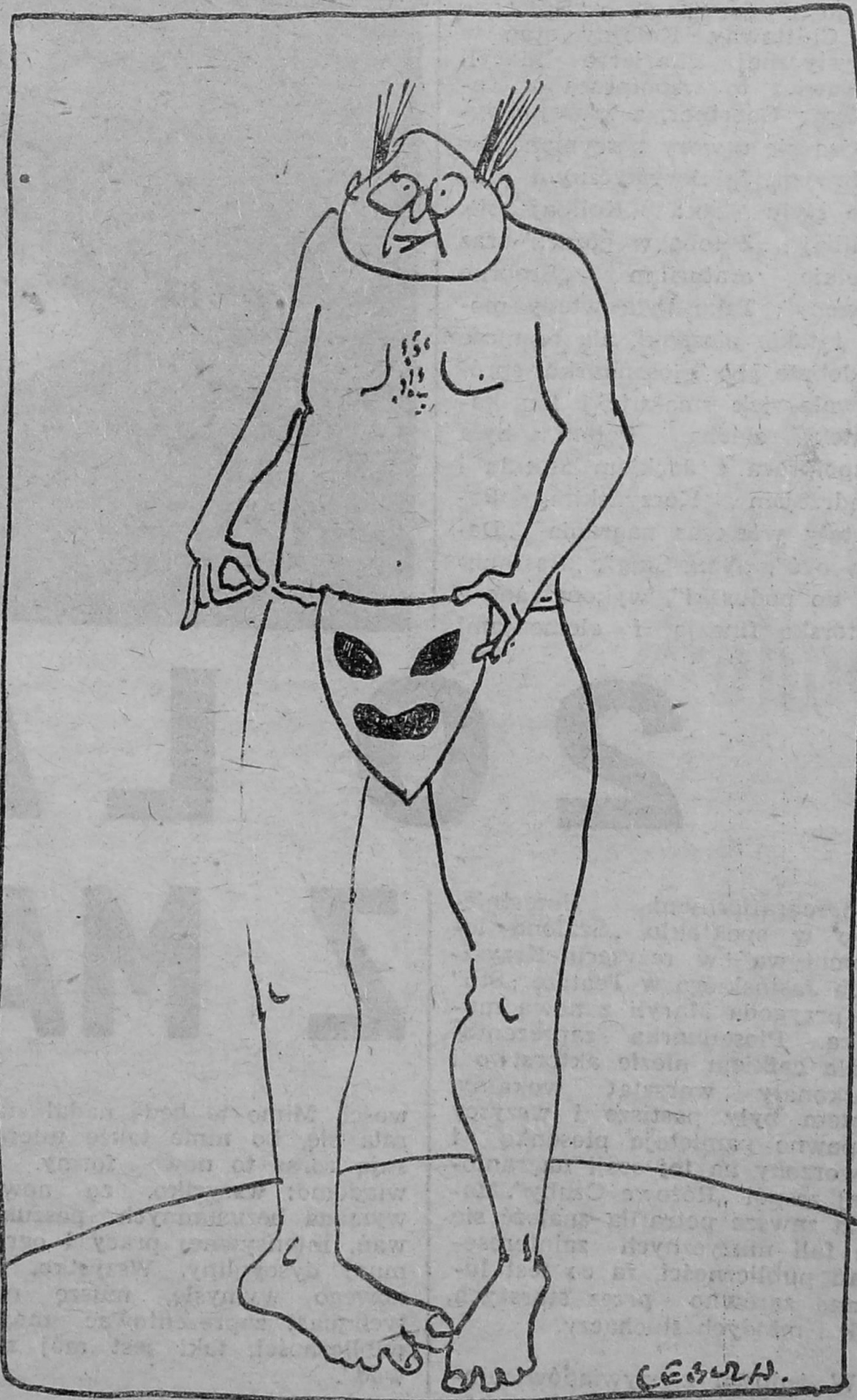
Dlaczego o tym piszę? Bo zdumiewa mnie liczba lordów, a właściwie chorych na lordozę w naszym kraju. Przy czym idzie głównie nie o zeszytowanie sylwetki, ale o rozumienie niezmienności tzw. pryncypiów. Dla naszych lordów słowo „raz” oznacza raz na całe życie, a przynajmniej na wyobraźnię jego odcinek nazywany przyszłością,

wać nowe miejsca pracy. I Piaściński razem z takim jednym z urzędu gminy chcą otworzyć punkt usług gończych przy gminnej spółdzielni. Będą czekali w kantorku przy bramie i pytali wjeżdżających chłopów, co chcą załatwić: sprzedać świnię, wziąć za nią pieniądze, wykupić za to paszę, trochę węgla i — powiedzmy — rolkę papy. Chłop, żeby to wykonać, potrzebuje około 5 godzin i musi przejść około 2 kilometrów, biegając po placu i po biurach. A tak załatwią to za niego oni, to znaczy punkt usług gończych,

dla planistów od kanalizacji, ulic, budynków, ale również planistów tego, co będzie w umysłach i sercach. Dzisiaj, na przykład, w naszym grodzie można w językach obcych przejść kurs wstępny, i to zaledwie w trzech. Nie ma nikogo, kto prowadziłby kurs angielskiego dla zaawansowanych.

Nie ma też komu poprowadzić kursu łomżyńskiego. Ciągłe powtarzamy kurs dla początkujących. W polskim, zresztą, tak samo. Lordoza to trudna choroba. Dla zaawansowanych.

HENRYK GAŁA



Rys. Henryka Cebuli



POTWARZ

CIĄG DALSZY ZE STR. 11

w areszcie sądowym, zwanym popularnie „sieczeniarnią”. Wreszcie wyprowadzono nas na korytarz. Chłopców skuto kajdankami natychmiast; widziałam, iż zastanawiają się nade mną. Zrezygnowano jednak z założenia mi kajdanków. Jednak powiększono liczbę konwój. I tak przez cały Sąd prowadzono nas w otoczeniu 9 strażników milicyjnych, z radiostacjami i w pełnym wyposażeniu. Droga do sali była wypełniona ludźmi, a przed salą — tłumy. Nie zauważyłam wrogości, na twarzach ludzi przeważało zaciekawienie.

Rozpoczęła się rozprawa. Sala nabitą ludźmi pękała w szwach. W miarę postępu rozprawy i wyjaśnienia naszych świadków oraz relacji oskarżającego wzrastało oburzenie sali. Coraz częściej zrywały się gwizdy, tupania i wybuchy śmiechu. Sędzia wydawał się być podrażniony, przerywał świadkom, groził opróżnieniem sali. W trzecim dniu procesu rozprawa z niewiadomych i nie podanych przyczyn została zdjęta z wokandy, bez wyznaczenia jakiegokolwiek następnego terminu.

Mój mecenas nie umiał mi tej sytuacji wyjaśnić. Zawisłiśmy w próżni. Teraz już nikt nie miał do mnie żadnych spraw. Nie wychodziłam z celi. Co dzień każde trzaśnięcie drzwiami wywoływało we mnie nadzieję, że jest wiadomością o terminie mojej rozprawy. Z wynajdywaniem sobie jakichś zajęć na wytracenie czasu też było co-



raz trudniej. Czekalam i czekałam. Wreszcie dostałam wiadomość — rozprawa została wyznaczona na 13 kwietnia. Teraz skreślałam każdy dzień i liczyłam pozostałe.

Tym razem znaleźliśmy się w sali dużo mniejszej, konwój też zmalał. W drzwiach bijatyka ludzi chcących dostać się na salę. Sędzia stojących wyrzuca. Wszyscy ścieśniają się tak, że prawie pozostają w bezdechu. Tym razem, po wysłuchaniu wszystkich świadków, sędzia niespodziewanie decyduje oddać sprawę do ponownego śledztwa ze zleceniem nierealnym — odnalezienia świadka (z tłumy ulicznego) owego wypadku z dnia 27 września, a więc po 7 miesiącach od wyjazdu.

Ogarnia mnie przerażenie. Znowu nieokreślone w czasie zamknięcia. Sala tupie. Adwokaci protestują, żądają uwolnienia z aresztu. Niewzruszony sędzia wychodzi z sali.

Rozpacz! Śledztwo ponownie trwało dwa miesiące. W tym czasie nie byłam nigdzie wzywana, nikt też mnie o nic nie pytał. Rozpoczęłam codzienną, monotonną korespondencję do Sądu, wciąż jednobrzmiącą: domagałam się uchylenia aresztu. Odpowiedzi nie dostawałam. Mecenas odwiedzał mnie czasami, w celu tylko i wyłącznie podtrzymania mnie na duchu. Widzeń z rodziną podczas owego drugiego śledztwa również mi zabroniono. 2 lipca odbyło się oficjalne zakończenie tego dziwnego śledztwa. Przywrócono mi widzenia z rodziną, ale o terminie sprawy w dalszym ciągu nic nie było słychać. Adwokatami, mimo usilnych interwencji, również nie udało się niczego dowiedzieć. Rozpoczął się przerażający okres stagnacji, tym gorszy, iż zawisła nade mną nowa groźba.

Otóż przedostawały się do nas różnymi drogami słuchy o amnestii. Obawiałam się, że moja sprawa może trafić pod dekret, gdyż byłoby to dla mnie śmiercią cywilną i zawodową. Teraz rozwiązaniem upatrywałam tylko w rozstrzygnięciu Sądu. Jedynie wyrok uniewinniający brałam pod uwagę. Umieszczenie i uwolnienie z amnestii nie wyjaśnia sprawy, nie jest też oczyszczeniem z winy, dla mnie sytuacja była tym tragiczniejsza, iż od owej amnestii nie istniało odwołanie. Była ona niezaskarżalna. Już nie chciałam wychodzić z aresztu, chciałam rozprawy i chciałam dostać realny jej termin. Amnestia została ogłoszona. Ludzie tłumnie opuszczali nasz pawilon. Coraz częściej przenoszono mnie z celi do celi. Każde trzaśnięcie drzwiami napawało mnie strachem, że tym razem mnie uwolnią z aresztu. Robiło się coraz ciężiej. Nastąpiły ogromne upały, celi ciasna, bez przewiewu, otwarty mały lufcik na górze właściwie nie dawał żadnego powietrza.

BARBARA MAKOWSKA-WITKOWSKA

Copyright by Barbara Makowska-Witkowska

Michael Jackson powraca na rynki płytowe i na pierwsze strony gazet. W październiku wystąpi on na wielkich koncertach w Hongkongu dla dziesięciu tysięcy ludzi. Bilety na jego koncerty są bardzo drogie, jeden kosztuje aż 85 dolarów.

Ostatnio Michael poróżnił się z rodziną, gdyż postanowił wycofać się z sekty wyznawców Jehowy. Jak stwierdził, wysuwano w stosunku do niego coraz większe wymagania finansowe, a na zbytnie wydatki gwiazdor nie może sobie ostatnio pozwolić. Religijna rodzina Jacksonów jest też przerażona coraz większą izolacją wewnętrzną Michaela oraz tym, że swój nowy album nazwał po prostu „Zły”.

Ukazała się koncertowa płyta legendarnej grupy „The Doors” — „The Doors Live at Hollywood Bowl”. Zawiera takie piosenki jak „Spanish Caravan” i „Unknown Soldier”.

Grupa „Heart” od czasu swego powstania (11 lat temu) sprzedała 20 milionów płyt, choć w Wielkiej Brytanii jest prawie nieznana. Nowy album zespołu — „Bad Animals” — prawdopodobnie przyniesie mu popularność także w ojczyźnie.

rock
serwis

„CCCP The Video” — taki tytuł nosi filmowy zapis wizyty zespołu UB-40 w ZSRR. Wnioskując z wywiadów, których członkowie grupy udzielili wiele, cała ekipa jest pod wrażeniem wyjazdu do Związku

Radzieckiego i bardzo miłego tam przyjęcia.

W Związku Radzieckim wprowadzono listy przebojów oparte na danych, zbieranych przez agencję TASS w 100 miejscowościach. 10 pierwszych pozycji dotyczy singli i longplayów. Na listach tych króluje Alla Pugaczowa z płytą „Szczęście w życiu osobistym”. Jej podopieczny — Włodzimierz Kuźmin — zajmuje drugie miejsce z płytą „Moja miłość”.

George Michael ma kłopoty z promocją swojego najnowszego singla „I Want Your Sex” z powodu obietnicy cenzury co do zawartości uroczego teledysku. Radio „One” zdecydowało się nadawać tę piosenkę dopiero po 21.00. Spore cięcia zostały także wprowadzone w klipie „Day in Day Out”.

fan-club

REDAGUJE
KRZYSZTOF KURIANUK

W tym roku mija dwadzieścia lat od estradowego debiutu Maryli Rodowicz, piosenkarki, która jednych podnieca, bawi i ekscytuje, innych zaś drażni i denerwuje. Jedno jest pewne — Maryla jest lubiana i ceniona, a jej warsztat nie można rozpatrywać tylko pod kątem estradowym, ponieważ Maryla Rodowicz to po trosze aktorka, interesuje się także kabaretem, również piosenkarka nie stroniąca od sezonowych mód muzycznych i przede wszystkim nazwisko, z którym liczyć się musi każdy menadżer i reżyser.

Jej twórczość można podzielić na kilka etapów: balladowy, z pięknymi i spokojnymi piosenkami, opiewającymi cygańskie życie włóczęgów, i prześmiewczymi o pociągach z Syracuse do Chittaway. Kolejny etap w artystycznej karierze Maryli Rodowicz to współpraca z Katarzyną Gaertner, z której wywodzą się utwory utrzymane w ludowym, folklorystycznym prawie stylu, jak: „Kolibaj się, kolibaj”, „Z tobą w górach” oraz wielkie oratorium „Srebrne dzwony”. Taka była wtedy moda i takie piosenki, ale to może i dobrze, bo piosenkarka spróbowała, jak smakuje i ten kawałek chleba. Potem była współpraca z Jackiem Mikułą i Andrzejem Korzyńskim. Powstały wówczas nagrania „Dama być”, „Sing-Sing”, „Bossanova do poduszki”, wykonywane z aktorską finezją i elementami

20 LAT
Z MARYLĄ

choreograficznymi. Uczestnictwo w spektaklu „Szalona lokomotywa” w reżyserii Krzysztofa Jasińskiego w Teatrze „Stu” to przygoda Maryli z nową muzyką. Piosenkarka zaprezentowała całkiem niezłe aktorstwo i doskonalą warsztat wokalny. Potem były pastisze i wszyscy zapewne pamiętają piosenkę i stworzony na tej sesji nagrany zespół „Różowe Czuły”. Maryla zawsze potrafiła znaleźć się na fali muzycznych zainteresowań publiczności, za co jest lubiana zarówno przez starszych, jak i młodych słuchaczy.

W jednym z wywiadów prasowych Maryla Rodowicz powiedziała: „Coraz trudniej będzie mi zaskakiwać publiczność nowymi pomysłami i gagami. Istnieje bowiem jakaś granica no-

wości. Mimo to będę nadal starała się, bo mnie także interesują coraz to nowe formy. A wiadomo: wszystko, co nowe, wymaga bezustannych poszukiwań, intensywnej pracy i ogromnej dyscypliny. Wszystko, co nowego wymyślę, muszę natychmiast zaprezentować mojej publiczności, taki jest mój zawód”.

Czy zatem piosenkarka, która na naszej estradzie osiągnęła już wszystko, może mieć jeszcze jakieś marzenia? Okazuje się, że

tak. Maryla Rodowicz marzy o zagranii w filmie muzycznym z prawdziwego zdarzenia. Owszem, występowała już kilka razy, ale były to zwykle nieistotne epizody.

Na razie Maryla zachwyca nas nową płytą zatytułowaną „Madonna polska”, z mądrymi tekstami i dobrą muzyką. Znać więc wypada artystce, aby następne lata były również udane, a my, słuchacze jej piosenek, byśmy zawsze mogli słuchać rzeczy dobrych.

Fot. JAN MAŁECKI



„Bubel raz jeszcze”

W nawiązaniu do artykułu Jana Oniszczuka „Bubel raz jeszcze” („Kontakty” nr 34/87), w którym wymieniono nasz zakład, chcieliśmy wyjaśnić kilka kwestii.

Podany przez autora wskaźnik 0,81 proc. oznacza ogólny udział strat na brakach w wartości naszej produkcji w roku ubiegłym, nie jest to procent wyrobów zareklamowanych przez odbiorców. Wielkość ogólnych strat na brakach wynika z charakteru produkcji naszego zakładu: 68 proc. wytwarzanych wyrobów to podzespoły elektroniczne urządzeń peryferyjnych (drukarek „Mera”), które dostarczamy w ramach sprzedaży wewnętrznej do zakładu wiodącego. W większości występujące straty wynikają z wad dostarczanych nam materiałów i elementów takich jak: kondensatory, diody, rezystory itp. Wychwycenie ich przez kontrolę dostaw jest często niemożliwe. Ujawnienie następuje dopiero w trakcie użycia do produkcji.

Element niepełnowartościowy jest eliminowany w trakcie produkcji i kontroli wewnątrzzakładowej. Powoduje to pewne wewnętrzne straty, ale zapobiega wystąpieniu wyrobów złej jakości do odbiorcy.

32 proc. naszej produkcji to termostaty woskowe do samochodów osobowych, ciągników rolniczych i silników wysokoprężnych. Jest to nasza produkcja zewnętrzna, sprzedawana poza przedsiębiorstwem (FSO, ZM „Ursus”) oraz eksportowana do VAZ-a w ZSRR. Do krajowej sieci handlowej — PP „Polmozyt” i PHSR „Agroma” — trafiło 6,5 proc. całości wytworzonej produkcji.

O jakości produkowanych przez nas termostatów świadczą następujące fakty. W ogólnej wartości sprzedanych w roku ubiegłym straty na brakach wyniosły 0,48 proc.

przy czym straty z tytułu uznanych reklamacji odbiorców 0,075 proc. Na pozostałą część strat złożyły się koszty ryczałtów ustalone w umowach i płacone producentom wyrobów finalnych oraz straty wewnętrzne. W 1986 r. dostarczyliśmy ponad 619 tys. sztuk termostatów, reklamacje uznano w stosunku do 366 sztuk, tj. 0,6 proc. Największy nasz odbiorca, producent samochodów Łada — VAZ w ZSRR na otrzymanych 312 150 sztuk zareklamował 348 sztuk, tj. 0,11 proc. Główny odbiorca krajowy, FSO w Warszawie, z otrzymanych 111 150 sztuk nie reklamował żadnej sztuki. Z wyrobów dostarczonych do krajowej sieci handlowej (termostaty do samochodów FSO 1500, Polonez i Łada) na 141 515 sztuk sprzedanych, reklamacje uznano w stosunku do 18 sztuk, tj. 0,01 proc.

W świetle podanych liczb możemy stwierdzić, że zakład nasz nie dostarcza odbiorcom bubli, czuwa nad tym kontrola wewnętrzna i o to właśnie chodzi.

Mgr inż. WALDEMAR TYCZYŃSKI
dyrektor ZMP „Mera-Blonie”
w Zambrowie

„Chrupiące obwarzanki”

W nawiązaniu do skargi obywatela Eugeniusza Korzeba („Kontakty” nr 34/87), uprzejmie informuję, że pomimo wielu naszych wysiłków podjętych w celu poprawienia zaopatrzenia w drobne pieczywo, nasz klient w dalszym ciągu utrzymuje, że zaopatrzenie jest niedostateczne.

Trudno dyskutować z obywatelem, którego upór i zacietrzewienie przesłania realną i obiektywną ocenę. I mam, i obywatelowi znane są twarde realia gospodarcze, dotyczące trudności zaopatrzeniowych w surowce i materiały, konieczność

stosowania zamienników i inne obiektywne przyczyny. Obywatel słusznie zauważa, że zdarzają się nam różne wpadki, ale nie ma ich tylko tam, gdzie nic się nie robi. Na bieżąco podejmujemy działania, by było ich jak najmniej.

Uznajemy każdą krytykę, jeśli jest ona oparta o sprawdzone fakty i powodowana zdrowym rozsądkiem. W przypadku obywatela można domniemywać, że ma on charakter wyjątkowo złośliwy i tendencyjny. Sklep nr 3, w którym obywatel ma rzekome trudności z zakupem drobnego pieczywa, w okresie od 1—20.08.87 posiadał w sprzedaży 7 asortymentów pieczywa w następujących ilościach: bułki montowe 50 g — 32 430 szt., bułki montowe 400 g — 5470 szt., batony 200 g — 1420 szt., bułki z marmoladą — 2650 szt., chały zdobne — 330 szt., strudel wrocławski — 570 szt., bułki wrocławskie — 18 480 szt., bułki śniadaniowe — 3200 szt., ponadto z produkcji ciastkarskiej sklep otrzymał 7300 szt. rogali i 2200 szt. drożdżówek z serem. Powyższe dane są do sprawdzenia, cyfry bowiem w odróżnieniu od człowieka nie kłamią.

Kontrolę zewnętrzną (PIH, IRCh), badając zaopatrzenie placówek handlowych w drobne pieczywo, nie wnosili zastrzeżeń co do asortymentu, jak i wielkości produkcji. Nie zanotowano również w tym temacie skarg od obywateli.

Nie oczekujemy od obywatela hymnów pochwalnych. Jesteśmy bowiem instytucją, której zadaniem jest zaopatrzenie społeczeństwa w podstawowe artykuły żywnościowe, a nie poszczególnych obywateli.

W okresie zmian gospodarczych, zachodzących w naszym kraju, wszystkim obywatelom i pracownikom potrzebny jest spokój i rozwaga oraz skupienie się na rzetelnej i dobrej pracy.

inż. MARIA STRZELECKA
wiceprezes Zarządu PSS „Spolem”
w Zambrowie

reklama sportu

W tygodniku (nr 26/87) został zamieszczony list pani Grażyny Kuleszy-Szypulskiej w sprawie wizualnej propagandy sportu na terenie miasta Łomży.

Trudno nie zgodzić się z krytycznymi uwagami autorki listu na temat stosunkowo skromnej informacji o przedsięwzięciach sportowych w mieście. Faktycznie problem godny jest zastanowienia i rozwiązania, choć nie można stwierdzić, że informacji nie ma w ogóle. Wyolbrzymienie i zdramatyzowanie tematu przez panią Kuleszę-Szypulską niczego nie zmienia — temat jest bardzo jaskrawy, ale problem pozostaje.

Niedawno w „Śpięciach” ukazała się notatka, która w kpiarskim tonie poruszyła trudną sytuację finansową łomżyńskiego sportu. Wyśmiano fakt, iż w sporcie 80 proc. środków pieniężnych pochłaniają wydatki osobowe. Czy to zatrudnienie za duże, czy po prostu sport dostaje biedne dotacje, tego już w „Śpięciach” nie było. A działacze sportowi dokonują prawdziwych cudów, by z tych pozostałych 20 procent szkolić młodzież, kupować sprzęt i organizować zawody sportowe.

Nie znaczy to jednak, iż rozgrzeszamy się z obecnego stanu. Zwróćmy uwagę organizacjom i klubom sportowym, by informacja była skuteczniejsza. Liczymy tu również na prasę. A może przychylne sportowi „Kontakty” wyciągną do nas pomocną rękę?

JÓZEF BABIEL
p.o. kierownika Wydziału Kultury
Fizycznej, Sportu i Turystyki UM
w Łomży

co po krytyce



Uczucia między mężczyznami i kobietami mają różne oblicza. Czasem efekt jakiejś namiętności zapisuje się nawet w milicyjnych biuletynach. Młody mężczyzna zjawił się rano na posterunku i zameldował o nagłej śmierci swej żony. Gdy wkrótce milicjant i lekarz poszli pod wskazany adres, zastali drzwi zamknięte na klucz i nikt nie odpowiadał na pukanie. Zdecydowali się wyważyć drzwi. Widok był tyleż niespodziewany, co wstrząsający: mąż wisiał na sznurze, niewątpliwie już martwy, żona też nie żyła. Prawdopodobnie się otruli. Nikogo

ty pierścione i obrączkę, wziął też torebkę z dokumentami, 7000 złotych oraz łańcuszek złoty z medalikiem i szybko poszedł swoją drogą. Pani L. nie oszczędziła dawnej sympatii. Milicja szukała go przez trzy dni.

— ◆ —

Antoni M. z Wysokiego Mazowieckiego jest pięćdziesięcioletnim mężczyzną z wyższym wykształceniem, ma troje dzieci i nigdzie nie pracuje, za to od stycznia br. znęca się fizycznie i moralnie nad swą żoną Teresą. Pani M. po ośmiu miesią-

cach zdecydowała, że nie będzie dłużej znosić tej sytuacji i zameldowała milicji o karygodnym zachowaniu męża.

— ◆ —

Żona Mieczysława S. uznała, że zabranie jej przez męża maszyny do szycia „Łucznik” to nie tylko kradzież przedmiotu wartości 27 000 złotych, lecz i wyrafinowana tortura psychiczna. Prokurator zastosował wobec złośliwca dozór milicyjny.

— ◆ —

Żony, szczególnie byłe, również bywają bezwzględne. Krystyna K. oskarżyła swego byłego męża o kradzież materiałów budowlanych i wyposażenia mieszkania wartości 524 tys. złotych. Eks-mąż, który ma na utrzymaniu dwoje dzieci w wieku 4 i 6 lat, został z polecenia prokuratora tymczasowo aresztowany.

— ◆ —

Elżbieta L. z Łomży spotkała dawnego konkubina, ale ich rozmowa miała niespodziewany dla niej finał. Szezeban P. schwytał jej z palca zło-

CIECHANOWSKIE PRZEDSIĘBIORSTWO CERAMIKI BUDOWLANEJ

w Ciechanowie

**oferuje
do sprzedaży**

★ CEGŁE WAPIENNO-PIASKOWĄ 3 NF o wymiarach 250×120×220 mm w kl-100 i w kl-75 w cenach 36 740 i 34 140 zł za 1000 szt.

Zakup cegły 3 NF dokonać można w Zakładzie Grabowo k. Ostrołęki.

K-358

ogłoszenia drobne

POGOTOWIE Telewizyjne — ZURTV
Łomża czynne w wolne soboty i niedziele od godz. 10.00 do 13.00, tel. 959.

K-353
ZATRUDNIĘ przy wykopkach ziemniaków. Partyzantów 4.

K-3720
SPRZEDAM dom z warsztatem i zabudowaniami gospodarczymi. Łomża, tel. 35-87.

K-3726
ZATRUDNIĘ akwizytora, Bochiński, Łomża, Zeromskiego 1a/8.

K-3733

Sąd Rejonowy II Wydział Karny w Łomży prawomocnym wyrokiem z dnia 27 lipca 1987 r. skazał Krzysztofa Jana Grochackiego, s. Mieczysława, zam. Zbójna 100, z art. 208 k.k. na karę 2 lat i 6 miesięcy pozbawienia wolności oraz 550 000 zł grzywny za to, że w dniu 30 kwietnia 1987 r. w Zbójnej dokonał włamania do miejscowego Kościoła, skąd zabrał w celu przywłaszczenia różnego rodzaju przedmioty liturgiczne wartości 550 000 zł na szkodę Parafii Rzymsko-Katolickiej w Zbójnej.

K-355

Sąd Rejonowy II Wydział Karny w Łomży prawomocnym wyrokiem z dnia 5 lutego 1987 r. skazał Kazimierza Grzymałę, s. Stanisława, zam. Leopoldowo, z art. 239 par. 2 k.k. i art. 58 k.k. na karę 2 lat pozbawienia wolności oraz 150 000 zł grzywny i zakaz zajmowania stanowisk materialnie odpowiedzialnych na okres 5 lat za to, że w 1986 r. w Nowogrodzie jako próbnobiorca Punktu Skupu Ziemniaków PSS w Łomży uzależniał określenie procentu skrobi ziemniaków dostarczanych przez rolników w zależności od udzielenia mu korzyści majątkowej.

K-356

REDAGUJE ZESPÓŁ: Stanisław Zagórski — redaktor naczelny, Stefania Henczelowa — zastępca redaktora naczelnego, Henryk Gała, Wiesław Janicki, Maria Kaczyńska, Alicja Niedźwiecka, Jan Oniszczuk, Stefan Ostrowski, Witold M. Patoka, Gabriela Szczesna, Władysław Tocki, Danuta Wroniszewska, Aleksander Wroniszewski, Stanisław Zieliński. Fotoreporter: Gabor Lörczy. Redaktor graficzny: Stanisław Kędzielski. Redaktor techniczny i korekta: Elżbieta Słupska i Jolanta Pawluk. STALE WSPÓŁPRACUJĄ: Alicja Basta, Czesław Brodzicki, Adam Dobroński, Krzysztof Dworak, Bronisław Gołębowski, Wiesław Kolowski, Piotr Kuncewicz, Krzysztof Kurianik, Jan Kwasowski, Andrzej Podulka, Marek Polański, Adam J. Socha, Waldemar Szpaliński, Andrzej Tchórzewski, Wojciech Woźniak, Alicja Zagórska. KONCEPCJA GRAFICZNA — Marek Goebel.

ADRES REDAKCJI: 18-400 Łomża, ul. Świerczewskiego 7. Telefony: 42-43, 42-44 (centrala), 40-22 (redaktor naczelny), 57-11 (zastępca redaktora naczelnego i sekretarz redakcji), 34-95 (administracja). Telex: 85-22-85. Wydawca: RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Białostockie Wydawnictwo Prasowe — dyr. mgr Romuald Łazarowicz, 15-959 Białystok, ul. Wesołowskiego 1. Druk: Białostockie Zakłady Graficzne — dyr. mgr Witold Sadowski, kłemuje Biuro Reklam i Ogłoszeń Red. Tyg. „Kontakty”, 18-400 Łomża, ul. Świerczewskiego 7, tel. 42-43 oraz wszystkie biura ogłoszeń na terenie kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Prenumerata kwartalnie — 260 zł, półrocznie — 520 zł, rocznie — 1040 zł. Tekstów ni zamawianych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów i zmiany tytułów. W-8.

kontakty

RUCHOME OBRAZKI

Obraz w telewizji jest właściwie niesamodzielny, nie może funkcjonować tak, jak w galerii malarstwa, w pantomimie lub w kinie niemy. Zawsze jest mu potrzebne towarzystwo słowa, przynajmniej w komentarzu wstępnym; potrzebna jest mu też muzyka. W telewizji cisza wywołuje niepokój.

Jakie jest więc słowo w telewizji? Nie ma raczej żadnych właściwości magicznych, wynikających z potęgi przekazu, choć niektórzy mistrzowie mass-medium skłonni są tak sądzić. Słowo w telewizji odbija wiernie kulturę mówiącego, bardziej niż przekazane radiem, zapisane w archiwum nagrań dźwiękowych, bardziej nawet niż w bezpośredniej rozmowie, w której koryguje je reakcja bezpośredniego słuchacza.

Nawet słowo odczytywane z kartki wiele mówi o tym, kto czyta. Proponuję porównać lektorów różnych — nareszcie faktycznie różnych a nie tylko dłuższych i krótszych i nadawanych o różnych godzinach — wydań dziennika telewizyjnego. Czasem wystarczy tylko ten momentalny błysk inteligencji w oczach, albo jego brak... Nic nie pomogą tu rozmaite zabiegi techniczne i reżyserskie: tego błysku nie dadzą żadne zalecenia redakcyjne ani żadne ulepszenia w technice przekazu. Ten błysk to moment porozumienia ze słuchaczami, że tekst czytany to coś sensownego, albo bzdury. I nie tu innego nie pomoże, jeśli lektor nie wyczuwa sensowności tekstu, a tylko przy wszystkim, co oficjalne, robi minę ambonałną. Nawet technika migawek w głównym wydaniu dziennika rozmiesza przy komentarzu moralistycznym, prawionym przez „inteligenta specjalnej troski”.

Zwracam uwagę na osobliwości słowa w głównym wydaniu dziennika telewizyjnego może dlatego, że wreszcie po zmianach, po wprowadzeniu „Teleexpressu” i „Panoramy dnia”, mogą darować sobie ten najdłuższy — o 19.30. Ale niestety, gdy przypadkiem czy z konieczności muszę go posłuchać, zawsze wpadł mi w zdumienie jakiś moment tępego moralizatorstwa lub gruboskórność, przy której uszy miękną (często rzecz nie w tym, jakie to słowo z leksykonu, lecz jak powiedziane). Inteligencji na obliczu i w obojętności lektora dziennika tv nie zastąpią żadne inne przymioty zapisane w ankietach.

*

Słowo jest też koniecznym przewodnikiem nawet w programach muzycznych tv, oby tylko było o-

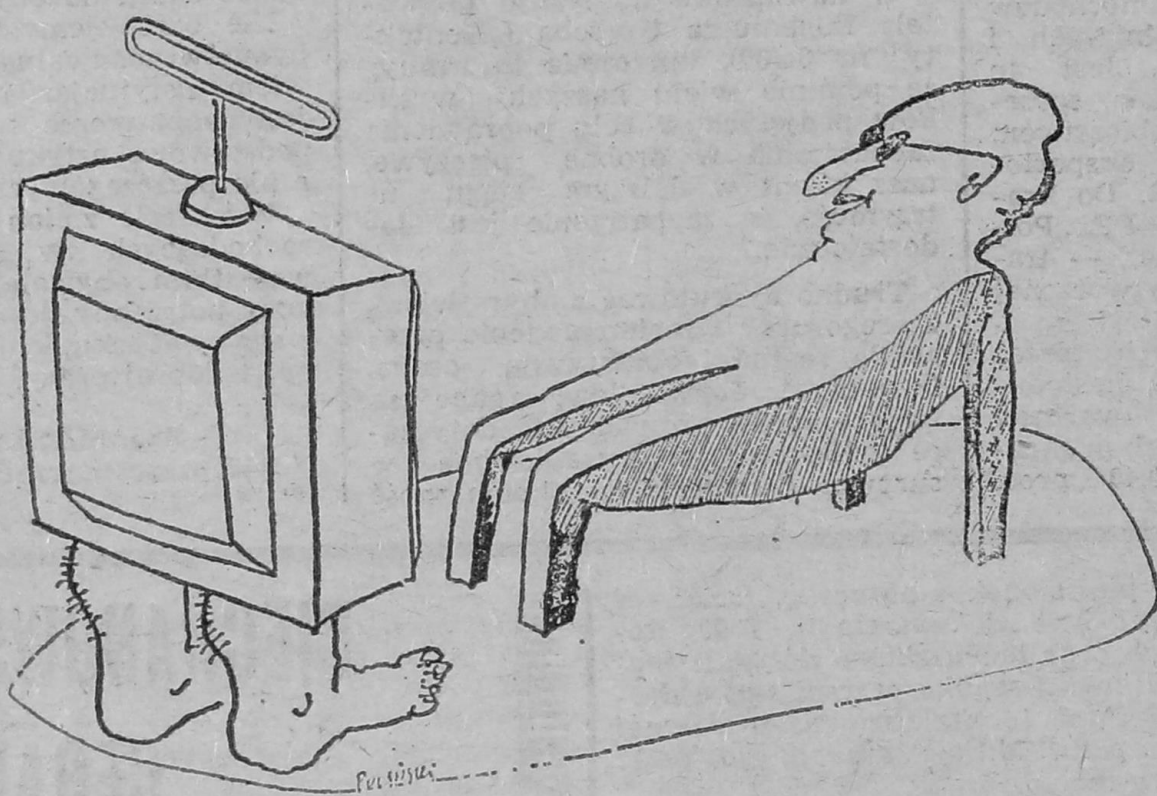
szczególne, informacyjne, bez nieopanowanego gadulstwa i afektacji; oby nie przesłaniało arogancko samej muzyki, jak to bywa w relacjach z takich imprez jak festiwal moniuszkowski w Kudowie Zdroju i podobne — komentowane amator-sko przez gadatliwie dziennikarki.

Wspominam o programach muzycznych, bo sądzę, że muzyka właśnie może się stać potęgą telewizji, tak jak onegdaj teatr i — cały czas — kabaret. Muzyka zyskała kiedyś niezłe miejsce na szklanym ekranie dzięki programom edukacyjnym prowadzonym przez Janusza Cegiellę, potem zniknęła z anteny, przebijając się z trudem, aż znowu zdobyła miejsce w sposób nieco wstydlivy. Gdy brak było telewizji innych programów, prze-

gramu z głównego wydania dziennika, znów się znalazło.

Świetną pozycją muzyczną była w niedawnym czasie relacja z bliskiej nam geograficznie i kulturalnie imprezy, Dni Muzyki Cerkiewnej w Hajnówce. Program z powściągliwym, informacyjnym komentarzem, który dawał orientację w miejscu, zestawie zespołów uczestniczących, a nie zabierał czasu muzyce. Ciekawe chóry polskie: cerkiewne i koncertujące, jak gdański Uniwersytetu i warszawski Towarzystwa Śpiewaczego „Harfa”; chóry z zagranicy; z Moskwy i Leningradu, z Finlandii i — przede wszystkim — rewelacyjny z Bułgarii. W chorałach śpiewaków bułgarskich fascynująco odzywały się pogłosy wpływów osmańskich.

przewodnik obrazu



Rys. Marka Polańskiego

de wszystkim teatralnych i rozrywkowych, to głusi na muzykę menadżerowie tv stanu wojennego pomagali się koncertami, bo to długie i łatwe czas wypełnia. Po tem miejsca dla muzyki znowu zaczęło brakować, ale ostatnio, na szczęście, po oswobodzeniu II prze-

W zestawieniu z dobrą muzyką koncertową w telewizji zyskuje słowo klarowne i uporządkowane stylistycznie, a zupełnie nieznoszące się wszelki bełkot i bardziej niecierpliwi gadulstwo.

w AMATOR

ŚWIAT PEŁEN TAJEMNIC

Było wczesne popołudnie 7 stycznia 1948 r., gdy nad jednym z niewielkich miast stanu Kentucky ukazały się „Latające talerze”. Według jednych źródeł były to trzy okrągłe, błyszczące obiekty, inne źródła mówią tylko o jednym srebrzystym dysku, z którego promieniowało czerwone światło.

Bez względu jednak na ilość obiektów sam fakt — jak to komentuje w swojej książce „Nieznane obiekty latające” Lucjan Znicz — ich pojawienie się niemal w sercu Stanów Zjednoczonych, w dodatku w odległości zaledwie kilkudziesięciu kilometrów od Fort Knox, gdzie zgromadzone są wszystkie zapasy złota USA, wywołał istną panikę. Podobno w mieście za pomocą głośników na samochodach ogłoszony został alarm przeciwlotniczy, a równocześnie policja stanowa wezwwała poprzez bazę wojskową w Fort Knox wsparcie lotnicze. Według meldunku: „Latające spodki były wielkości gmaczu Pentagonu, miały średnicę ok. najmniej 80 metrów i przybyły najprawdopodobniej ze Związku Radzieckiego”.

Kilka minut później jeden z niezwykłych obiektów dostrzegła także zaalarmowana przez Fort Knox załoga podległego tej bazie lotniska Godman Field. Jeszcze parę minut trwały wahania, czy nie jest to jakiś samolot bądź balon meteorologiczny, wreszcie dowódca bazy płk. Hix podjął jakże ważką w swych skutkach decyzję: „Natychmiast dla rozpoznania wystać es-

DOGONIĆ UFO

kadzę samolotów pościgowych F-51”. Akurat 4 samoloty tego typu prowadzone przez poruczników Hammonda, Hendricksa, Clementa i kpt. Mantella (dowódcę eskadry) po swym ewidentnym locie zbliżyły się do Godman Field. Cała eskadra drogą radiową otrzymała rozkaz wypełnienia nowego zadania. Z jego realizacją pozostał tylko zapis magnetofonowy przekazywanych przez pilotów tą samą drogą meldunków. Oto on:

„15.00. Mantell: — Jeszcze nic nie widzę. Skręcam w lewo Ohio River Falls.

15.02. Mantell: — Widoczność dobra. Jeszcze nic nie widać. Wysokość 9400. Idę w górę.

15.09. Mantell: — Wysokość 10 400. Jeszcze nic.

15.11. Mantell: — Już. Jest. W kształcie dysku. Olbrzymi. Trudno ocenić. Jakies 70 metrów średnicy. Górna część ma pierścień i kopułę. Wydaje się, że błyskawicznie obraca się wokół pionowej osi. Wysokość 10 500.

15.12. Hammond: — Widzę też. Fotografuję. Mantell idzie prosto na niego. Obiekt jest dobre 1500 metrów nade mną. Próbuje podejść bliżej. Włączył się także lewy pilot.

15.14. Mantell: — Jeszcze 900 metrów. Lecę niemal dwukrotnie prężej. Dogonię go w każdym wypadku. Wygląda jak z metalu, błyszczący. Otacza się jasnym, żółtym światłem. Zmienia kolor. Czerwony. Pomarańczowy.

15.15. Mantell: — Odległość nie więcej jak 450 metrów. Przyspiesza. Próbuje uciec. Skręca w górę niemal pod kątem 45 stopni.

15.16. Hammond: — Mantell prawie go dosięgnął. Już tylko parę metrów. Dysk leci prężej. Nie dogonię go. Mantell znikł w chmurach. Proszę o zgodę na lądowanie.

15.17. Clements: — Nie dam rady. Proszę o zezwolenie na lądowanie.

15.18. Mantell: — Przedmiot jest gigantyczny. Ma nieprawdopodobne przyspieszenie. Teraz...”

W tym momencie łączność radiowa nagle się urwała. W Godman Field zorganizowano natychmiast grupę poszukiwawczą. Krótko po godz. 16.00 natknęła się ona w odległości 130 mil od Madison na rozproszony na przestrzeni wielu kilometrów strzępy samolotu F-51.

Tu właśnie, na tym wybuchu, kończy się udokumentowane sprawozdanie tragedii, a zaczynają się coraz bardziej sensacyjne wersje. (dik)

ZAMIAST RECENZJI

biznes bez granic

Kariera Armanda Hammera wydać się może polskiemu czytelnikowi egzotyczną i nieprawdopodobną. To prawda, nawet na warunki Stanów Zjednoczonych była zbyt amerykańska. W czystej postaci ucieleśniała wszystkie protestanckie cnoty ekonomiczne, które legły u podstaw wielkości USA. Czegokolwiek się dotknął, nieczym król Midas, zamieniał w złoto.

Armand Hammer był szefem Occidental Petroleum Corporation, trzynastego co do wielkości koncernu w Stanach Zjednoczonych, a oprócz tego doradcą prezydentów Roosevelta, Kennedy'ego i Nixona, bliskim znajomym Lenina i Breżniewa, miłośnikiem sztuki i właścicielem ogromnej kolekcji; w tym bogatym życiu znalazło się miejsce na wszystko. Zaczął od produkowania i sprzedawania leków; już jako student medycyny był milionerem — magnatem przemysłowym, przypuszczalnie jedynym w Stanach studentem, który doszedł do fortuny własnymi siłami. W 1921 roku, kiedy rozpoczął miał lekarską praktykę, postanowił wyjechać do Rosji, która — wyzerpana wojną domową i blokadą gospodarczą — cierpiała wielki głód. Nietrudno uświadomić sobie, na jakie niebezpieczeństwa narażał się młody kapitalista jadąc do bolszewickiej Rosji. Ku zdumieniu sceptyków Hammer jednak nawet tam potrafił robić interesy. Na początek sprowadził z Ameryki milion buszli zboża i wymienił na futra, skóry i kawior; jako jedyny cudzoziemiec otrzymał od Lenina koncesję na eksploatację złóż azbestu; skłonił Henry'ego Forda I, zaborcę wroga komunistów, do sprzedania na Wschód tysięcy samochodów i traktorów.

Z biografii piera Boba Considine'a wynika, że Hammer na początku nie kierował się względami ekonomicznymi, porażały go stopy trupów i setki głodnych dzieci, oblagających specjalny pociąg. Jego zdaniem sytuacja była paradoksalna; na Uralsu, zamknięte w ziemi, leżały nieprzebrane bogactwa, prawie wszystkie znane minerały, a mimo to ludzie nie mogli spożytkować ich nawet na tyle, aby zaspokoić najbardziej elementarne potrzeby życiowe. Przedsiębiorczość Armanda bardzo się wówczas przydała: wystarczyła mu jedna wizyta w sklepie papierniczym, by zorientować się, że walcząca z analfabetyzmem Rosja potrzebować będzie milionów ołówków. Fabryka stanęła pod Moskwą tak szybko, że wprowadził tym w zdumienie wciąż borykające się z trudnościami przedsiębiorstwa państwowe. W pierwszym roku obniżono cenę ołówków dziesięciokrotnie.

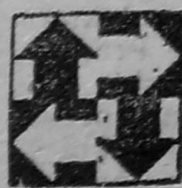
Po powrocie do Stanów Zjednoczonych pomógł majątek produkując whisky i beczki do niej, handlując dziełami sztuki, hodując rasowe bydło. Ale prawdziwą fortunę zrobił na ropie naftowej. Miał wówczas 53 lat i niczego mu nie brakowało. Do poszukiwania ropo- nośnych pól zmusił go amerykański system podatkowy, który gwarantował ulgi za każdy pusty szyb. Niestety, gdziekolwiek wywiercił dziurę — tryskała z niej ropa. W przemysłowy sposób zdobył koncesję w Libii i doprowadził do odkrycia tam ogromnych pokładów płynnego złota. Nie przeszkodziła mu rewolucja i nacjonalizacja przemysłu wydobywczego: po prostu sprzedał polowe instalacji nowemu rządowi i podzielił się zyskami.

Zresztą, żaden ustrój nie stanowił dla Hammera przeszkody w robieniu dobrych interesów. W 1961 roku ponownie odwiedził Związek Radziecki, tym razem jako wysłannik prezydenta Kennedy'ego. Na początku 1963 roku zaproponował miliardową umowę kredytową na dostawy nawozów sztucznych. Docekalą się ona realizacji dopiero 9 lat później.

W przedmowie do swojej biografii Armand Hammer napisał: „Beniamin Franklin, sławny amerykański mąż stanu, filozof i ojciec-założyciel naszego państwa, powiedział: — Partnerzy handlowi nie prowadzą wojen. Słowa jego miały głębokie znaczenie w wieku osiemnastym. U progu wieku dwudziestego pierwszego mają je w dalszym ciągu”.

JAN ONISZCZUK

Bob Considine — „Więcej niż jedno życie. Niezwykła biografia Armanda Hammera”. „Książka i Wiedza”, Warszawa 1983.



CZWARTEK — 17.09.87

Program 1

16.25 „Kwant” — magazyn. pop.-nauk.
17.15 Teleexpress.
17.55 Magazyn lotniczy.
18.20 Sonda.
18.50 Dobranoc.
19.30 Dziennik.
20.00 „Zasłoń jej twarz” (1) — serial ang.
20.50 „Teraz” — tygodnik gospodarczy.
21.20 „Muzeum Ludwiga” — tel. film dok.
21.40 Studio Sport.
22.40 DT — Komentarze.

Program 2

17.30 Magazyn „102”.
18.30 „Wiem wszystko” — teleturniej.
19.00 Muppet show, czyli rewia gwiazd.
19.30 Życie muzyczne.
20.00 Świat cyrku '87.
20.45 Auto-moto-fan-klub.
21.30 Panorama dnia.
21.45 Recital Edyty Geppert.

PIĄTEK — 18.09.87

Program 1

16.25 „Opowieści z naszej polanki”.
16.50 „Okienko Pankracego”.
17.15 Teleexpress.
17.30 Za kierownicą.
17.50 Polska w świecie.
18.30 Małe kino: „Plener”.
18.50 Dobranoc.
19.30 Dziennik.
20.00 „Trio” — pol. film fab.
21.00 „Zawsze po 21.00”.
21.40 Studio Sport.
22.40 DT — Komentarze.

Program 2

17.30 Galerie świata: „National Gallery w Londynie” (1) — ang. film dok.
18.30 Dookoła świata.
19.00 Magazyn „102”.
20.00 „Warszawska Jesień '87” — koncert inauguracyjny.
21.00 Antyczny świat prof. Krawczuka.
21.30 Panorama dnia.
21.45 Filmy Romana Polańskiego: „Matnia”.
23.35 Wieczorne wiadomości.

SOBOTA — 19.09.87

Program 1

9.00 „Donia — ciasto z bananem” radz. film fab.

10.30 DT — Wiadomości.
10.40 Stare, nowe, najnowsze.
11.40 „Wrześniowe fortece” — program wojskowy.
12.10 „Barier” — program dla niepełnosprawnych.
12.40 Koncert żyćzeń.
13.35 Antologia dramatu powszechnego: Friedrich Dürrenmatt — „Wizyta starszej pani”.
15.05 25-lecie „Czerwono-Czarnych”.
15.45 Wędrowki dalekie i bliskie.
17.15 Teleexpress.
17.30 Studio Sport.
18.20 „Turniej” — program publ.
18.50 Dobranoc.
19.00 Z kamerą wśród zwierząt.
19.30 Dziennik.
20.00 „Gwiazda północy” — franc. dramat społeczny.
22.00 Czas.
22.40 Studio Sport.
23.20 DT — Wiadomości.
23.30 Kino Nocne: „Bullitt” — film USA.



Program 2

15.00 Magazyn sportowy „As”.
15.45 „Atlas nadziei” — program publ.
16.00 Skierniewice na antenie „Dwójki” (I).
16.30 Spektrum.
17.00 Legendy filmu: Jane Fonda.
18.30 „Wielka gra” — teleturniej.
19.30 Skierniewice na antenie „Dwójki” (II).
20.00 Andrzej Markowski — muzyk niezapomniany.
21.00 Skierniewice na antenie „Dwójki” (III).
21.30 Panorama dnia.
22.00 „Dalekie pawilony” (3) — serial ang.
22.50 Mój jazz: „Saksofoniści” (1).
23.40 Wieczorne wiadomości.

NIEDZIELA — 20.09.87

Program 1

9.00 „Teleranek” oraz „Silas” (3) — serial RFN.
10.30 DT — Wiadomości.
10.35 „Serce smoka” (4) — ang.-kanad. serial dok.
11.30 Siedem anten.

12.10 Koncert żyćzeń.
12.55 Transmisja z centralnych uroczystości dożynkowych z Wąbrzeźna
13.30 Teatr dla dzieci: „Dookoła stołu”.
15.50 „W rytmie disco” (8) — serial brazył.
17.15 Teleexpress.
17.30 „Bogini tańca” — program rozrywkowy.
18.20 Antena.
19.00 Wieczorynka.
19.30 Dziennik.
20.00 „Zony Hollywoodu” (3) — serial USA.
20.50 „Pegaz”.
21.40 Sportowa niedziela.
22.15 Klub międzynarodowy.

Program 2

12.15 Jutro poniedziałek.
12.45 Targi sztuki ludowej.
13.10 Kino Familijne: „O Dorocie, która tańczyła na linie” (3).
14.00 Fantazja na smyczki.
14.45 Wideoteka.
15.30 „Kino-oko”.
17.25 „Borneo” (1) — dok. film RFN.
18.10 Przeboje Bogusława Kaczyńskiego: Maria Callas.
19.00 Goście Daniela Passenta.
20.00 Studio Sport.
21.00 W cieniu historii: „Misja agenta JN-3”.
21.30 Panorama dnia.
21.45 „Mazarin” (6) — serial franc.
23.00 Wieczorne wiadomości.

PONIEDZIAŁEK — 21.09.87

Program 1

16.25 „Zwierzyńiec” oraz „Zwierzaki, zwierzaki” — film USA.
17.15 Teleexpress.
17.30 „Tajemnice Morza Czerwonego” — serial franc.-RFN.
18.30 Laboratorium.
18.50 Dobranoc.
19.30 Dziennik.
20.00 Teatr TV: Wacław Biliński — „Sylwia”.
21.15 „Okragły stół”.
21.45 Studio Sport.
22.15 Lista przebojów muzyki poważnej.
22.40 DT — Komentarze.

Program 2

17.30 Magazyn „102”.
18.30 „Rzyko” — teleturniej.
19.00 „Rozstania” — program dla rodziców.
19.30 Gwiazdy wielkiego sportu.
20.00 Osądźmy sami.
21.00 Powtórka z historii: „Prezy-

dent Ignacy Mościcki”.
21.30 Panorama dnia.
21.45 Biografie: „Goya” (3) — serial hiszp.

WTOREK — 22.09.87

Program 1

16.25 „Krag” — magazyn harcerzy.
16.50 „Wyprawy profesora Ciekawskiego”.
17.15 Teleexpress.
17.40 Gazeta rolnicza.
18.05 „Nieszczęśliwi muszą się lepiej odzywać” — program rozrywkowy.
18.30 Klinika zdrowego człowieka.
18.50 Dobranoc.
19.30 Dziennik.
20.00 „Pod wiatr” (12) — serial austral.
21.05 Studio Sport.
21.35 „Ptakiem być” — tel. film dok.
22.00 „Ociosywanie mgły” — Kazimierz Koźniowski.
22.40 DT — Komentarze.

Program 2

17.30 Magazyn „102”.
18.30 Wielkie bitwy historii: „Bitwa Pod Hastings” — dok. serial franc.
20.00 XII Festiwal „Muzyka w starym Krakowie”.
20.50 „Chorym daj całą swoją duszę”.
21.30 Panorama dnia.
21.45 „Wojna i pokój” (3) — film radz.
23.20 Wieczorne wiadomości.

ŚRODA — 23.09.87

Program 1

16.25 Dla dzieci: „Tik-tak”.
17.00 Studio Sport.
18.50 Dobranoc.
19.30 Dziennik.
20.00 „Nieproszony gość” — pol. film fab.
21.00 Studio Sport.
21.30 40-lecie ZAKR-u: Jonasz Kofta.
22.05 „Wyszliliśmy z morza” — program publ.
22.40 DT — Komentarze.

Program 2

17.30 Magazyn „102”.
18.30 „Meksyk” — program dok.
19.00 Ekran szczerości.
19.30 „Uciezka” — reportaż.
20.00 Studio Sport.
21.00 Strażnicy echa.
21.30 Panorama dnia.
21.45 Teatr TV: Witold Gombrowicz: „Iwona księżniczka Burgunda”.
23.35 Wieczorne wiadomości.

W środę, 9 września, rozegrano czwartą kolejkę klasy okręgowej seniorów. Nie powiodło się grajowskiej Warmii, która przegrała w Ostrowi 0:2. EKS pokonał Przasnysz 3:2, Olimpia wygrała 3:1 z Izolacją, a Grom zwyciężył 4:0 Bug II. Pozostałe wyniki czwartej kolejki: Start — Płońsk 2:2, Błękitni — Makowianka 1:1, Sokół — Polonia 1:0.

Natomiast w ubiegłą niedzielę zanotowano następujące rozstrzygnięcia: Izolacja — EKS 0:5 (0:3), Makowianka — Grom 0:3 (0:1), Warmia — Olimpia 2:1 (1:1), Przasnysz — Start 1:4, Bug II — Sokół 3:1, Płońsk — Błękitni 3:0. W piątą kolejkę do sporej niespodzianki doszło w Grajewie, gdzie miejscowa Warmia pokonała Olimpię 2:1. Gospodarze przez pierwszą połowę dyktowali warunki, lecz prowadzenie po bieście obrony Warmii zdobył dla gości już w 6 minucie meczu Wiśniewski. W 28 minucie, kiedy to kontuzjowanego Półtorzyckiego wymienili Grabowski, ten ostatni zdobył, również po błędzie obrony, wyrównującego gola dla Warmii. W pięć minut później ten sam zawodnik mógł zdobyć drugą bramkę dla gospodarzy, lecz nie wykorzystał dogodnej sytuacji. Po przerwie dążąca do zdobycia gola Warmia przeważała do 63 minuty. Po ustaleniu wyniku meczu na 2:1 przez Karłowoskiego do głosu doszli goście, a w ostatnich 10 minutach nie schodzili z połowy gospodarzy. Jednak nie zdołali sforsować — dobrze spisującej się pod dowództwem Zamajęsa — obrony Warmii. W drużynie gospodarzy wyróżnił się także Lichota, Młodyszewski i Karłowoski, a w drużynie Olimpii — Wiśniewski.

Kolejne dwa punkty zainkasował Grom w meczu w Makowie Mazowieckim. Podobnie jak w meczu z Bugiem Grom przez cały czas posiadał zdecydowaną przewagę. Gole dla Gromu zdobyli kolejno: w 40 i 60 minucie Stańczyk oraz w 75 — Krawul. Oprócz strzelców bramek w drużynie gości wyróżnił się — bardzo dobrze grający na przedpolu swojej bramki — Mazur, który nie dopuszczał do groźniejszych sytuacji.

Również EKS nie spuszcza z tonu. Po niemiłym poprzednim meczu, tym razem zdobył dwa punkty w Młotku, pokonując Izolację 5:0. Festiwal strzelecki rozpoczął w 6 minucie Skowronski, a następnie dwie bramki (w 15 i 30 minucie) strzelił dla gości Remez. Wynik 3:0 utrzymał się do przerwy. Czwartego gola dla EKS-u strzelił w 55 minucie gry Piątek, a w 20 minut później Chrzanowski ustalił wynik meczu. EKS przewyższał swych niedzielnych przeciwników pod każdym względem, ale gospodarze



prowadzili do końca meczu otwartą grę i ambitnie dążyli do uzyskania honorowego gola. Obserwatorzy tego meczu zgodnie podkreślali również urozowienie i bezbłędne prowadzenie pojedynku przez trójkę ciechanowskich sędziów.

Dopiero dziś możemy podać wyniki i inauguracyjnej kolejki rozgrywek A-klasy seniorów w piłce nożnej. Nie spisa- li się sędziowie i opiekunowie drużyn, opieszale podając wyniki z boisk naszego województwa. Oto wyniki pierwszej kolejki: Ziemowit — Ruch 5:5, Orzeł — Komunalni 2:0, Sokół — Wissa 1:4, Sparta — Unia 3:0. Mecz Smolnik z Czarnymi zakończył się wynikiem 3:0 dla gospodarzy, ale w związku z niestawieniem się na mecz wyznaczonych sę-

dziów i wynikłymi z tego powodu nieporozumieniami w Stawiskach, sprawę na najbliższym swym posiedzeniu rozpatrywać będzie zarząd OZPN Łomża. W drugiej kolejce (rozegranej 13 września) rekordowe, bo aż 8:1, zwycięstwo osiągnął Orzeł Kolno w meczu ze Spartą Szepietowa. Pozostałe wyniki: Czarni — Wissa 2:2, Unia — Sokół 1:1, Ruch — Komunalni 3:2, Smolnik — Ziemowit 4:0. A oto tabela, w której uwzględni- liśmy nie zwerfikowany jeszcze wynik meczu Smolnik z Czarnymi.

1. Orzeł	2	4	10:1
2. Smolniki	2	4	7:0
3. Wissa	2	3	6:3
4. Ruch	2	3	8:7
5. Sparta	2	2	4:8
6. Czarni	2	1	2:5
7. Sokół	2	1	2:5
8. Unia	2	1	1:4
9. Ziemowit	2	1	5:9
10. Komunalni	2	0	2:5

Juniorzy EKS-u w kolejnym meczu o mistrzostwo klasy międzywojewódzkiej zremisowali w Warszawie z Agrykolą 2:2.

Bardzo dobrze spisali się w Krasnym- stawie, na III ogólnopolskim turnieju klasyfikacyjnym taekwon-do, karatecy MKS-u Zorza Łomża. Sebastian Sierpu- towski w wadze do 50 kg zajął pierw- sze miejsce, wygrywając w finale ze swym kolegą klubowym Jarosławem Świątkiewiczem. Natomiast w wadze do 70 kg Bogdan Mioduszeński był drugi. W gronie osiemnastu drużyn Zorza u- plasowała się na trzeciej pozycji za AZS-em Lublin i MKS-em Krasnym- stawem. Do kadry Polski przed mistrzostwami świata w Barcelonie powołani zostali: Jarosław Świątkiewicz, Bogdan Miodu- szewski, Andrzej Kłopotowski i Grze- gorz Kopczewski.

Wyrazy szczerzego żalu i współczucia
Koleżance
ZOFII OLSZEWSKIEJ
z powodu śmierci
TEŚCIA
składają: Dyrekcja i współ-
pracownicy RSW „Prasa-
-Książka-Ruch” PUPiK O/W
Łomża.

K-364

Wyrazy szczerzego żalu i współczucia
Koleżance
BOGUMILE KULESZY
z powodu śmierci
BRATA
składają: Dyrekcja i współ-
pracownicy RSW „Prasa-
-Książka-Ruch” PUPiK O/W
Łomża.

K-363

Koleżance
HANNIE SZYMAŃSKIEJ
z powodu śmierci
TEŚCIA
wyrazy współczucia
składają: pracownicy Wydzia-
łu Społeczno-Administacyj-
nego Urzędu Miejskiego w
Łomży.

K-3737

**PRZEDSIĘBIORSTWO
HANDLOWO-
-PRODUKCYJNE
„MIKROKOMPUTERY”
Sp. z o.o.**

**ma zaszczer i
zaprosć**

na pokaz sprzętu mikro-
komputerowego, który od-
będzie się w Łomży w
dniach 23—24 września
1987 roku w godzinach
10.00—15.00.

Miejsce pokazu: sala
konferencyjna Łomżyń-
skich Zakładów Przemys-
łu Bawełnianego „Na-
rew”, Łomża, ul. Wojska
Polskiego 161.

Pokaz obejmuje:

- ☆ mikrokomputery 16-
-bitowe kompatybilne
z IBM PC XT/AT
- ☆ sieci lokalne TRANS-
-NET oraz D-Link
wielodostęp 2-stanowi-
skowy
- ☆ oprogramowanie.

**SERDECZNIE
ZAPRASZAMY.**

K-360

15

KONTAKTY
1987-09-20

z tygodnia na tydzień



organ samorządowy
pod redakcją
Włodzisława Jędrzejewskiego

konserwaty

sztuka kochania

WEDŁUG
OWIDIUSZA

Sztuka płaczu też jest trudna. Musisz wiedzieć, białogłowo, kiedy płakać i jak płakać. Przystudiuj to szczegółowo.

Uczcie się pięknego chodu, jaki przystoi kobiecie. Wdzięcznie chodząc, serca mężczyzn od razu zawojujecie. [...]

Śmieszna jest nienaturalność. Posłuchajcie mojej rady: Chodząc — trzeba stąpać miękko, ale unikać przesady.

Radziłbym ci lewe ramię odkryć, jeśli plec twa śnieżna. Pocałować owo miejsce bierze nas chętna bezbrzeżna... [...]

Piękna winna umieć tańczyć, grać w szachy i rzucać kości. Niech zna tysiące gier... Zabawa bywa początkiem miłości. [...]

Piękna kobieta winna pośród tłumu chodzić, przez wszystkich być oglądana, aby wybranych — uwodzić...

Niech się stara, by zachwyty budziła w krag jej uroda. Niech na wszystko bacznie patrzy, co piękności wdzięku doda.



Rys. Henri Matisse

Ostatnie żniwa ukazały w pełnym świetle jeszcze jeden z idiotyzmów, pieczęlowicie hołubionych w naszym kraju. Oto „Agroma” została praktycznie pozbawiona możliwości szybkiego reagowania na sygnały swoich klientów, którzy — jak to się dzieje na całym świecie — powinni

WIEŚCI PONADGMINNE

mieć możliwość zamawiania prosto z pola części do zepsutych maszyn żniwnych. Rzecz bowiem w tym, że na radiotelefon stać dzisiaj chyba tylko multimilionerów.

Powiedzmy sobie od razu i bez żadnych niedomówień: ta prohibicyjna, skutecznie odstraszająca cena abonamentów radiotelefonicznych nie wynika wcale z wysokich kosztów eksploatacyjnych tego urządzenia. Wynika ona z chęci maksymalnego ograniczenia liczby osób i instytucji korzystających z radiotelefonów, bo podobno można je dostrajać do częstotliwości

ci, na których pracują zupełnie inne służby.

W każdym kraju mają one prawo do utajnienia swojej działalności, nie może się to jednak odbywać kosztem blokowania postępu, ani tym bardziej — jak w tym przypadku — kosztem ogromnych

strat materialnych, ponieważ w porze żniwnej każda stracona minuta kosztuje grube pieniądze.

A tak w ogóle, w imię czego to wszystko? W imię jakiegoś leku przed czym czy przed kim sami siebie wystawiamy na pośmiewisko? W świecie cywilizowanym radiotelefon jest normalnym środkiem łączności. U nas traktuje się go jak broń palną, którą należy trzymać pod kluczem i udostępniać tylko nielicznym. Kalendarz ciągle nam się spóźnia o jakieś ćwierć wieku.

KOMENTATOR



— Drodzy telewidzowie! W odpowiedzi na krytykę naszego zakładu stwierdzam autorytatywnie, że produkowane przez nas szczoteczki w pełni zaspokajają potrzeby higieniczne ludzi pracy!

Druk: „Dikobraz”, przedruk: „Panorama”, komentarz własny.

SWAWOLNIK

Amerykański multimilioner Rotszyld zatrzymał się kiedyś w małym hoteliku, w jeszcze mniejszej miejscowości na południu kraju. Na kolację zamówił jajecznicę, a kiedy przyszło do płacenia

rachunku, właściciel baru zażądał dwustu dolarów.

— Co? — zdziwił się Rotszyld. — Czy jajka są u was taką rzadkością, że jajecznica aż tyle kosztuje?

— Jajka nie — odpowiedział gospodarz — ale milionerzy!

fragment pisma okólnego instytucji

„[...] zarządzenie niniejsze zgodnie z postanowieniem na powyższy temat z dnia 21 III br. ma charakter poufny w zrozumieniu zarządzenia, które wydane zostało w roku ubiegłym i odnosi się do zagadnień związanych z powyższym, przy czym uzupełnienie tegoż nosi charakter podobny, choć ma też dodatkowe ograniczenia wynikające z tematu, jaki winni nieprzestrzegania zarządzenia będą przyswajać na specjalnych konferencjach, które zostaną zorganizowane na zasadzie odrębnego pisma wydanego w stosownym czasie. Z pismem okólnym należy zapoznać

pod redakcją ekstrapocztą

Motto:
Dobrze czy źle, byle dużo.

Szanowna Podredakcjo! Mimo wszystko piszę „szanowna”, choć — prawdę mówiąc — na szacunek nie zasługuję. Czemu to niby nie odpowiadacie mi na moje listy? Czy tak robią ludzie kulturalni? A może Wy po prostu nie z kulturą wspólnego nie macie? Tak, to chyba będzie to. Czytając Was odnosi się wrażenie, że Podredaktor to jakiś wyrzutek społeczeństwa, pewnie z przyczyną na nosie, zezem obu

gał i ciągłymi wysiękami z czerwonego nocha. Tylko taki człowiek może zachowywać się w taki sposób i drukować takie banialuki, jak choćby te niby wiersze, po których słabo robi się człowiekowi normalnemu.

Kończąc wyrażam nadzieję, że prędzej czy później pójdzie on (podredaktor) na mało zasłużoną emeryturę i wtedy na moje listy zaczną otrzypywać odpowiedzi.

Pozostaję bez odrobiny szacunku.
Satyryk z woli plebejskiej,
ANTONI ZYGADŁOWSKI
z Konina. Adres wyłącznie do mojej własnej wiadomości.

uniwersalna wroźba tygodnia

W tym tygodniu lepiej nie myśl sobie, że będzie Ci łatwo. Odpowiedzialność życia już dawno przerasta Twoją kompetencję, więc nastaw się na wydane zmniejszenie oczekiwań sukcesów. Bądź już raczej sobą, a wtedy unikniesz wielu rozczarowań.

KASSANDER

LUKSUSOWE JEDNO DANIE

chłódnik starolitewski

Mleczko mleczarniane (z naturalną zawartością bakterii typu salmonella), zakwasz kwasem siarkowym, który spowoduje wytrucie bakterii. Do powstałej w ten sposób sokiśliny dodać dwie tubki pasty kawiorowej, kilogram wędzonego węgorka oraz dwie cytryny. Spożywać mleczkiem i żwawo.

GOSPODYN!



wszystkich, dla których nie stanowi ono zarządzenia poufnego, w zrozumieniu wykonywanych funkcji niezbędnego posiadania informacji na powyższy temat.

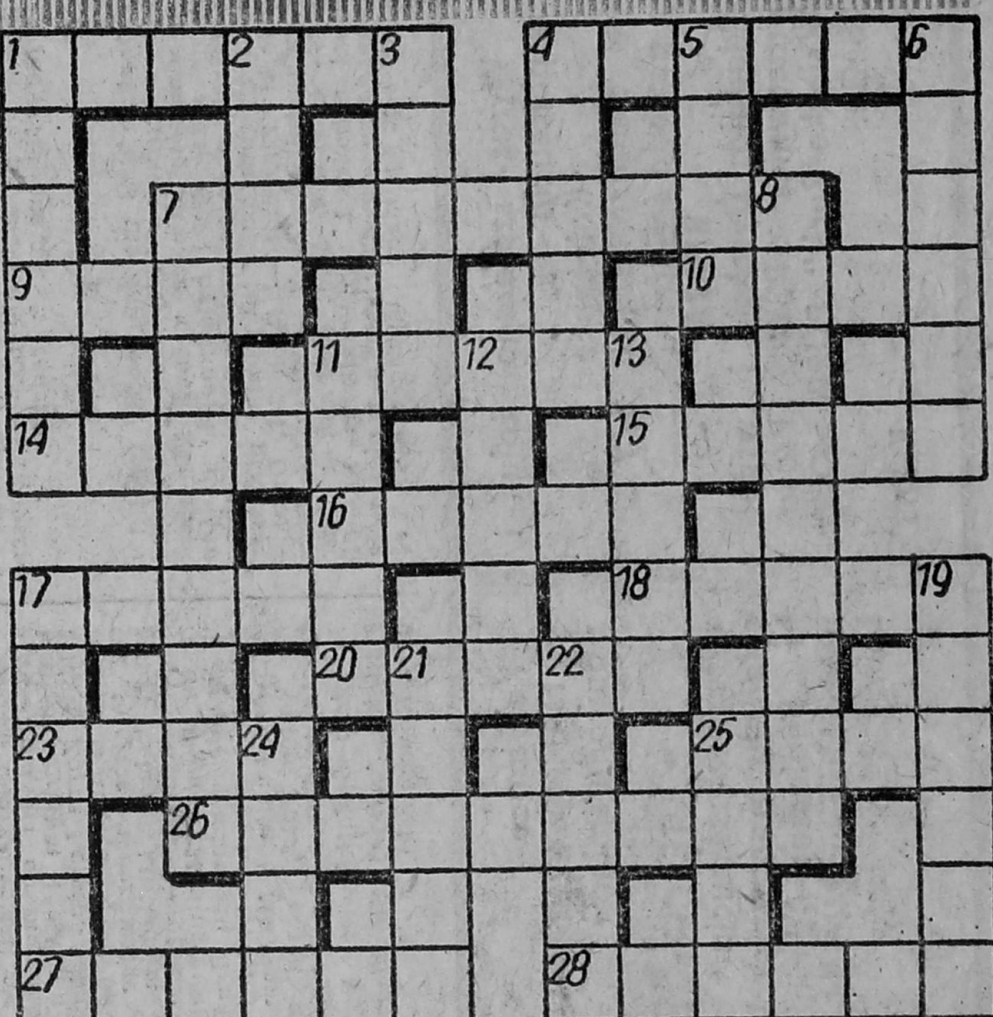
Dyrektor
(nazwisko czytelne)

KONKURSOWA FUTRYNA Z WIFRSZYKIEM

zapomnienie

Moja rzeka Narew słodkie wody toczy,
bo słodka jest dla niej chwila...
zapomnienia
Chciała kochanka wyrzec się mienia,
którego dawno nie widziały oczy
Serce posłuchało...
Tysiąc lat cierpieniem okupione było
Gdy chcę zapomnieć, to pamięć narzeka
Zawsze w jej oddechach jego imię — czeka.

Nota biograficzna: ŁOMŻYNIANKA.



POZIOMO: 1) opuchlizna, 4) w rękach malarza, 7) odłudek, 9) dryf, 10) materiał opałowy, 11) słodki ziemniak, 14) popularna nazwa sklejek, 15) załącznik, dodatek, 16) jednokomórkowy glon słodководny, 17) orator, 18) rodzaj mięsa wieprzowego, 20) drapieżnik z rodziny łasicowatych, 23) tlenek węgla lub afrykańskie państwo, 25) imię męskie, 26) człowiek zmyślający, blagier, 27) metalowa sztaba umacniająca zamknięcie okna, drzwi, 28) jeden z trzech muszkieterów.

PIONOWO: 1) kokon, 2) mąż Hery, 3) skąpiec, dusi-

grosz, 4) rodaczka, 5) zwierzę z szablami, 6) błąd popełniony przez roztargnienie, 7) hufnal, 8) duńska metropolia, 11) owoc południowy, 12) na półce sklepowej, 13) cena, opłata stała, 17) ziemniaczana lub rybna, 19) dawniejszy sezonowy robotnik rolny, 21) budynek gospodarczy, 22) berlińska, szkuta, 24) sytuacja życiowa, los, 25) zmora Sycylińczyków.

(HCL)

Wśród Czytelników, którzy w ciągu 10 dni nadesłały prawidłowe rozwiązanie, rozlosujemy nagrody książkowe.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR 35/87

POZIOMO: występ, pstrąg, lukasówka, rząd, suma, kapok, wrona, astat, szlem, piana, awans, kurecz, spis, wina, etiologia, Poprad, gaźnik.

PIONOWO: Węgrów, trud, plaża, pióro, taks, galant, ładowanie, Australia, kasak, poler, „Kamaz”, postęp, szalik, akord, czołg, ster, więź.

Za poprawne rozwiązanie krzyżówki książki wylosowali: KRYSZYŃA KACZYŃSKA (Łomża), JANUSZ KOŚCIBAN-CZUK (Wysokie Mazowieckie) i ANDRZEJ KOWALSKI (Białystok).